

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 4 maja 1958 r. Cena 1 zł **nr 10**

NIEZNANY DOKUMENT, PRZECHOWANY PRZEZ ŁÓDZIANINA



Sekcja polska (PPS) w pochodzie 1-Majowym 1917 r. w Petersburgu. Zdjęcie dotychczas niepublikowane. Przechował je łódzianin Stanisław Przepiórkowski.

(z archiwum referatu Historii Partii przy KŁ PZPR).

W NUMERZE:

**II KONKURS „ODGŁOSÓW”**

p.t. **„OGRÓD MIŁOŚCI”**

**SAHARA PACHNĄCA NAFTĄ**

**PAN BARON I ROBOTNICY**

**OKOPY jejmość PORNOGRAFII**

**FILIPINY W OGNIU**

## SKARB NAD WISŁĄ

MICHAŁ WALCZAK

Najpierw była wielka tajemnica. Do różnych miejscowości powiatu tarnobrzeskiego przyjeżdżały ciężarowe samochody. Ludzie wynosili z nich dziwne urządzenia i stawiali na polach. Wyglądało, jak gdyby mieli wiercić studnie. Ale nikt nie wiedział. Ludzie z samochodu milczeli. Zbывали niczym. Był to bowiem okres wszechmocy stempla „Tajemnica państwowa”.

Tarnobrzeg to małe miasto powiatowe nad brzegiem Wisły. W takim miasteczku gospoda to królestwo płotek. Któregoś jesienno-go popołudnia przy stolikach w drugiej sali panowało wyjątkowe ożywienie.

— Ludzie, wiercie mi — mówił przy jednym z nich niewysoki mężczyzna — na polu Francka Wołskiego znaleźli złoto... Sam widziałem, jak ten świder wyciągnął złote bryłki... Jak oni się cieszyli... A najwięcej ten, którego nazywali profesorem...

Kilka godzin później do Warszawy wysłano meldunek:

Kolejna próba akcji „Pierwiastek” zakończyła się pełnym sukcesem. Ponad wszelką wątpliwość stwierdziliśmy w Piasecznie obecność złóż „Pierwiastka”. Podpisano: prof. Pawłowski.

W Warszawie depeszę rozszyfrowano bez trudu. Bo wiadano: — że ludzie, którzy przyjechali tajemniczymi samochodami to ekipy naukowo-techniczne specjalistów geologów.

— że prof. Pawłowski, to klie-

Dokończenie na str. 3

TADEUSZ GUTKOWSKI

## STARE — MŁODE ŚWIĘTO

Miałem kiedyś redaktora, który przed Świętem 1 Maja zwykł był zlecać pisanie o kołchozowskiego artykułu, omawiającego główne hasła manifestacji pierwszomajowych w poszczególnych latach. Sporządzony z takiej inspiracji przegląd chronologicznie wyliczał, iż na przykład — w roku tym — a — tym manifestowaliśmy pod hasłem wykonania Planu, w roku następnym — przeciw rodzimej reakcji, kiedy indziej — za spółdzielczością produkcyjną. Słowem, każde święto majowe miało określone zawołanie, jakiś znak szczególny w zależności od etapu, od konkretnych posunięć lub zamierzeń partii i rządu.

**WSZYSTKIM LUDZIOM PRACY, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM PISMA NAJLEPSZE ŻYCZENIA PIERWSZOMAJOWE SKŁADA**

REDAKCJA

Wydawało mi się wówczas — i wydaje się dziś — że spojrzenie poprzez zgodną z aktualnymi potrzebami propagandy, ale zmienią treść haseł pierwszomajowych narzuca Świętu powszednie, bo niemal doraźnie — usługowe ramy. Takie traktowanie świąt pierwszomajowych na drugi niejaką plan przynosi to, co jest ISTOTĄ 1 Maja, co manifestacjom pierwszomajowym nadaje w każdym okresie historycznym i pod każdą szerokością geograficzną jednomy, niepowtarzalny charakter święta wszystkich ludzi pracy. 1 Maja bowiem to przede wszystkim święto międzynarodowemu.

Pomyślcie: jednego dnia na całym świecie na ulice miast i miasteczek wychodzą miliony zwykłych ludzi. Zwykłych? A może właśnie nie zwykłych przez ten wszechobecny zorganizowany porządek. Jednego dnia miliony, różniące się przecież kolorem skóry, językiem, stylem życia manifestują swą jedność. Jedność w sprawach ogólnoludzkiej rangi. Siłą tej wielomilionowej armii jest poczucie wspólnoty klasowej i odpowiedzialności za losy świata, na którym żyjemy, poczucie bliskości ramienia towarzysza, który — wbrew granicom i wbrew kordonom — kroczy obok Ciebie tym samym rytmem, który, tak jak Ty, wierzy, myśli, jest przekonany, iż idee wolności, pokoju i sprawiedliwości społecznej można osiągnąć, można wcielić w kształt materialny.

W dniu 1 Maja widmo komunizmu staje się namacalne. Nie ma zbyt wielkich słów dla oddania wielkości święta 1 Maja. A tu, w Łodzi, chyba najżywszą pulsowało ono treścią, bo jak najbardziej bliskie i zrozumiałe robotnikowi łódzkiemu było zawsze hasło: ludzie pracy są braćmi!

Wiele na temat międzynarodowemu pisano, jeszcze więcej mówiono. Kto żył w szranki sporów o naczelną kryterium międzynarodowemu, sfery jego zasięgu, odlenie. Niejeden mniej lub bardziej mądry wywód wyprowadzono. Nie czas tu i miejsce ani na ocenę, ani na podsumowanie tych dyskusji i wywodów. Ale na pewno czas i miejsce na przypomnienie pewnych słów Lenina:

„Międzynarodowemu w czynach jest jeden i tylko jeden: ofiarna praca nad rozwojem ruchu rewolucyjnego i walki rewolucyjnej w swoim własnym kraju, popieranie (za pomocą propagandy, wyrażania sympatii, materialnie) takiej samej walki, takiej samej linii i tylko tej linii, we wszystkich bez wyjątku krajach”.

W przyszłym roku minie 70 lat od uchwały Międzynarodowki Socjalistycznej, wyznaczającej dzień 1 Maja — rocznicę krwawych wydarzeń w Chicago — jako święto międzynarodowej solidarności mas pracujących całego świata! Siedemdziesiąt lat! Stare święto młode święto — nasze święto.







WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Polityczna młocka

# SAHARA PACHNĄCA NAFTĄ

Konflikt algerski, poszerzony w ostatnich miesiącach o konflikt francusko-tunezyjski jest dla Francji sprawą pierwszorzędnej wagi. Miarą tego jest chociażby fakt, że właśnie trudne problemy północno-afrykańskie doprowadziły ostatnio do upadku gabinetu Feliksa Gaillarda. B. premier znalazł się w sytuacji bez wyjścia: z jednej strony sojusznicy anglo-amerykańscy drogą tzw. dobrych usług starali się doprowadzić Francję do kompromisu z pro-algersko nastawioną Tunezją, z drugiej strony prawniczo ugrupowania polityczne czyniły nacisk na Gaillarda, by nie szedł na żadne ustępstwa. Nie mogąc zadowolić obu stron jednocześnie, Gaillard musiał ustąpić.

Nasuwa się pytanie, dlaczego Francja tak kurczowo broni swoich pozycji w Afryce Północnej i dlaczego Stany Zjednoczone i Anglia z takim uporem narzucają się z mediacją w tym konflikcie? Powodów jest wiele. Trudno nie widzieć ogromnych korzyści, jakie Francja czerpie z bogatego Algeru. To ją właśnie skłania do zaangażowania się całym autorytetem w konflikt algerski i kontynuowania beznadziejnej walki pomimo ogromnych kosztów z tym związanych i niezadowolonia rozładniejszej części społeczeństwa francuskiego. (O tym pisałem w poprzedniej „młocke”).

Natomiast Ameryka i Anglia obawiają się, by rząd Bourgi, który pod naciskiem narodu tunezyjskiego sympatyzuje z walką o niepodległość Algeru, nie przeszedł do obozu Nasser, czyli do obozu państw arabskich prowadzących politykę anty-imperialistyczną.

Wydaje się jednak, że gorątkowo zabieg Murphy'ego i Beeleya o pogodzenie Bourgi z Gaillardem miały inną ukrytą przyczynę: zabezpieczenie eksploatacji bogactw naturalnych Sahary.

Tak. Podręczniki geografii szybko się w naszych czasach dezaktualizują. Jeszcze



niedawno uczyliśmy się, że Sahara stanowi ogromną pustynną połać północno-zachodniej Afryki, nie przedstawiającą żadnej wartości gospodarczej. Tymczasem badania ostatnich lat wykazały, że na terenie Sahary znajdują się bogate złoża ropy naftowej. Pierwszych wierceń dokonano z pomysłem wynikiem w Hassi Messaoud, pomiędzy oazą Ouargla a posterunkiem Legii Cudzoziemskiej Fort Lallemand. Obfite wytryski ropy skłoniły do nowych wierceń w Edjele.

Trudno dziś jeszcze powiedzieć coś bliższego o zasobach naftowych Sahary. Przypuszcza się jednak, że są one tak wielkie, iż mogą niezależnie zachodnią Europę od złóż naftowych Środkowego Wschodu. A korzystanie z tych ostatnich staje coraz bardziej pod znakiem zapytania.

Próbną eksploatację ropy na Saharze rozpoczęły trzy francuskie towarzystwa naftowe. Okazało się jednak, że francuski przemysł naftowy jest za słaby, by przezwyciężyć ogromne trudności techniczne, wymagające wielkich nakładów inwestycyjnych. Znaleźli się więc natychmiast pomocnicy w postaci British Petroleum, Royal Dutch Shell i czterech amerykańskich towarzystw naftowych. Sześć dalszych towarzystw z potężnym Standard Oil (New Jersey) zdradza również chęć przystąpienia do eksploatacji Sahary.

Wśród płaszczystych wydm pustyni wyrosły wieże wiertnicze, poławily się zbiorniki na ropę i osiedla robotnicze. Koszta są ogromne. W trudnych warunkach klimatycznych trzeba zapewnić robotnikom znośne warunki życia, dostarczać im świeżej żywności, wody itp.

Trudność dodatkowa polega na tym, że Saharę oddziela od wybrzeża Morza Śródziemnego objęty ogniem walki Alger oraz „niepewne” kraje arabskie Tunezja i Libia.

Strach przed sabotażem lub napaścią powstańców algerskich każe pola naftowe fortyfikować i ubezpieczać wojskiem. Projekt budowy rurociągu naftowego do wybrzeża Morza Śródziemnego w dużej mierze uzależniony jest w realizacji od rozwiązania problemu algerskiego.

Dotychczasowe rządy francuskie wierzyły wciąż w możliwość sfinalizowania tej sprawy siłą. Amerykanie i Anglicy są ostrożniejsi. Nafta na Saharze jest zbyt wielką gratką, by puszczać się na jakiegokolwiek ryzyko. Starają się więc wpłynąć na Francuzów, by poszli na ustępstwa. Eisenhower i Dulles ślą w tej sprawie do Paryża list po liście. Tymczasem zaś świdry zagłębiają się raz po raz w płaszczystym gruncie Sahary i raz po raz wytryska w górę strumień „płynnego złota”...



Wiercenia naftowe w Hassi Messaoud odbywają się pod ochroną broni maszynowej

## Nasza szkoła

# PRECZ Z „TYLKO KIERMASZEM”

**B**elfrze — rzekł mi uroczysto redaktor — nadchodzi twoje święto — Dni Oświaty, Książki i Prasy. Rzeczywiście moje, po trzykroć moje — drodzy Uczniowie — albowiem czynię winieniem w prasie oświatę i pisać o książkach (przynajmniej dzisiaj i między innymi). Bardzo się tedy zainteresowałem, jak to obchodzone będzie moje święto i z radością, wzruszeniem i entuzjazmem zapoznałem się z bogatym repertuarem imprez, które przewiduje dla miasta Łodzi nasz ukochany Wydział Kultury, bez fałszywego wstydu prezentujący go w „Głosie Robotniczym” już 17 kwietnia br. Czegoż to nie będzie!!!

Kiermasz i kiermasz, oprócz tego kiermasz i sto kiermaszy, nie licząc jeszcze kiermaszu. Kiermasz na ulicy, w kinie, na peryferiach, w ambulansie, muzeach i bibliotekach. Mało tego: będzie kiermasz atrakcyjny, kiermasz książkowy i kiermasz tradycyjny. Oprócz wszystkich tych kiermaszy zorganizowany będzie kiermasz. A na dodatek — szerszy — wielka atrakcja — odbędzie się co? Kiermasz!

Przeczytawszy te radosne wieści Belfer Wasz westchnął. Oj, Wydziale kulturalny, o! Jakoś Ci główka nie popracowała. A pomysły same pchają się do ręki i głowy. Trzeba było, mój Wydziale drogi, nie tylko ozdobić wywiadem wspomniany numer „Głosu”, ale go jeszcze przeczytać. Odkryłbyś wtedy np. gawędziarza imię pana Hendryka, który mógłby — na jakimś placu w czasie Dni wygłosić śliczne przemówienie o książkach, które nie wędrują pod strzechy i tym te Dni uświetnić. Zna on mnóstwo słów obcych, którymi oryginalnie gawędę swą ubarwił. Pisze on bowiem:

„Obywatelu Piw. — miejsce raczej pretensje do swego kuzyna, do dużego PIW, czy innego wydawnictwa, które ostatnio leży tuja się w wydawnictwie literatury superrealistycznej, u świadamiacej naszą młodzież w zagadnieniach pederastii, onanii, narkomanii, sodomii, sadyzmu, masochizmu, ekshibicjonizmu, fetyszizmu et caetera bomba”.

Oczywiście, można, by rzec, iż przytoczony fragment jest dziełem skończonym w swej doskonałości, gdyby nie to, że nie mówi, gdzie co w książkach PIW-u znaleźć. Myślę, iż zgodnie ze swym belferskim powołaniem spełnić czyn społecznie pożyteczny, uzupełniając ową lukę, czemu mam nadzieję — drogi pan Hendryk przykłaśnie. A więc ad rem, Czytelniku! Dowiedz się:

— o pederastii — niechybnie w „Stu baśniach ludowych”,  
— z onanią zapoznasz się dogłębnie w „Postępie i głupstwie” Jana Kota,

— o skutkach narkomanii przekonasz się w „Cenie strachu” Arnauda,

— o sodomii poczytasz niewątpliwie w sielance holenderskiej pt „Pod drzewem pod zielonym” lub — jak sama nazwa wskazuje u Prousta „W cieniu zakwitających dziewcząt”. Specjalistą od sadyzmu jest, jak wiadomo powszechnie, niejaki Maurois w „Olimpie”, gdy podaje żywot W. Hugo. Krzylnik masochizmu spotkasz w „Pijaku” Palady, napompowana ekshibicjonizmem jest „Moja piękna mama” Walewskiej, pewnego fetyszizmu dopatrzeć się możesz w zawartości „Dziennika” Anny Frank, zaś pan Hendryk mówiąc o „et cetera bomba” miał pewno na myśli

„Śmierć w Rzymie” Koepena, tylko mu się przyczyna śmierci pomyliła.

To byłoby wszystko, zarówno jeśli chodzi o drogowskazy dla czytelników Hendryka (rozszerzone i uzupełnione przez Belfra) jak i pozycje wydawnicze PIW. (Przynajmniej, niestety, prawie wszystko).

Redaktor, doczytawszy tych słów skrzywił się, jakby cytrynę połknął i rzekł



z namaszczeniem: Belfrze, człeku poważny i sędziwy, zamiast czynić śmichy-chichy z zawsze poczytnego kolegi po piórze — wymyśliłbyś coś mądrego, a postulatycznego na Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Redaktor do mnie — że bym wymyślił, ja do Wydziału Kultury, żeby wymyślił, Wydział do Ministerstwa, Ministerstwo do Pana Boga, Pan Bóg do Narodu, Naród oczywiście do Redaktora. Redaktor do mnie — wszyscy na się pokrzykują, koło się zamyka i przypomina guzik. Tylko więc i wyłącznie na tle tego guzika ośmielałem się bąknąć, co następuje w kwestii kierunkowych ogólników na Dni Oświaty itd.

Precz z „tylko kiermaszem”! Niech żyje twórcza koegzystencja pożytecznej kiermaszomanii z setkami innych Dniowych imprez! Urządźmy Wielkie Rekolekcje Oświaty, Książki i Prasy (tudzież w ogóle kultury), połączone z Wielkimi Igrzyskami w tej branży. Niech „wszystkie kwiaty” przybiorą na dwa tygodnie postacie lwów i niech się publicznie nawzajem zderają. Niech ruszy w pierwszym rzędzie ciemnogród wraz z rozmaitością swoich sztandarów, hasel i pieśni, niechaj wyjdzie do publicznych sal, na estrady, mównice, do radia i telewizji. Niechaj pokaże twarz. Może wtedy JASNE OŚWIECENIE JASNOGRÓD pokaże kły i czułki mózgowe w jakiejś sensownej zdepornasłej na ciemnogród ofensywie.

By zaś wszelacy przeciwnicy „naszej szkoły” nie zbyli mojej propozycji słówkiem „nierealne”, przedkładać jeden zda się racjonalny wniosek: nie warto znowu wskrzeszać sytuacji, w której to wielkie spory o kulturę i sztukę, oświatę i prasę, tudzież wielkie ludzkie pasje zaangażowane w tych kwestiach, kroczą swoją drogą — a oficjalna, bezproblemowa galówka swoją, pokrywając te pierwsze kamuflażującym, kolorowym festynem. Dni Oświaty, Książki i Prasy, wyprane z treści merytorycznych, pomyślane jako impreza, w czasie której wyłoży się w kioskach trochę książek, pokaże buzie kilku autorów i nada przez głośniki kwik chórów mieszanym — pozbawione są sensu i szans skuteczności.

Mamy w Polsce akcje „odnowy moralnej”, czarne

i inne kropielnice, ale mamy też oprócz potężnej przeciwwagi kultury inne zjawisko przeogromnej wagi: powszechne, pasjonujące zainteresowanie sprawami kultury, społeczne zaangażowanie w toczące się spory, masowa dążność poznawcza i polemiczna. A to jest dużo. To jest fundament zdolny udźwignąć budowę przeobrażenia gustów społecznych, półkultuńskich nawyków i pojęć. Czekać! Jeszcze Ministerstwo Kultury przyjmie na etat ostatniego w Polsce kołtuna. Będzie nań chuchać i dmuchać tudzież obwozić go w klatce po miastach i wsiach Polski i pokazywać publicznie ze szczególnym uwzględnieniem działów szkolnej. Kołtun będzie sobie siedział i trzymał tablicę z napisem: „Ubiaram akty. Wykropkowuję pewne wyrazy. Napadam na pogrzeby. Tropię nieślubne dzieci. Prowadzę Akcję Odnowy Moralnej. Czytam tylko Sienkiewicza i Dobrzyńskiego”.

Nie doczekamy tego czasu, tocząc spór o kulturę po piwnicach Jasnie Oświeconego Jasnogrodu. Wciągnijmy w spór ten cały naród nie wyłączając działawy szkolnej.

Dlatego mimo wszystko proponuję zwołać w te Dni łódzki naród do Hali Sportowej. Zaprosić tam p. Hendryka, postawić na trybunie i dawać, niech najeżdża na onanię i sodomie i te wszystkie rzeczy, które z literatury współczesnej pozostają mu w pamięci, bądź też tworzy jego imaginacja. Niech wszystko detalicznie opowie, żeby naród mógł się tego i owego pobrzydzić. Zaprosiłbym też kogoś drugiego, aby podjął wdzięczny trud wyjaśnienia swemu kontrawersarzewi tudzież zgromadzonej PT publiczności, że nie ma ani kultury i sztuki nagiej, ani kultury i sztuki ubranej, a jest po prostu kultura i sztuka albo antykultura i antysztuka, będąca rzeczą wcale od odzienia lub nieodzienia różną i niezależną. Że i jedna i druga może być rozebrana po pięty lub ubrana po szyję. Niech powie też, co to w ogóle jest mniej więcej sztuka, czym to się je i jak to się waży, a również co to jest naprawdę pornografia. O tym, że można być bardzo moralnie rozebranym na amen i bardzo niemoralnie ubranym, o tym, że artyzmu lub nie artyzmu nie mierzy się ilością wielokropków, zasłaniających pewne wyrazy. I o wielu innych bardzo ważkich sprawach a o wszystkim z recytacjami, przeżościami, tańcami, pokazami wszelkiej pornografii i niepornografii, grafomanii i literatury, konkursami na inteligencję, corsami, tresurą lwów, grą na grzebieniu, zbiorowym picciem aperitifów. Missą Łodzi na żyrandolu, sztandarami i „stolatką”. Co rzekłszy miejsce na trybunie honorowej rezerwuję sobie

BELFER.





# SKARB NAD WISŁĄ

(Dokończenie ze str. 1)

rownik ekspedycji, a „Pierwiastek” — to siarka.

Był rok 1953. Jesień. Ale niewiele pomyślono się w tarnobrzezkiej gospodarce.

## W PIASECZNIE ODKRYTO ZŁOTO...

Piaseczno — wiosna 1958 rok. Stajemy nad skrajem olbrzymiego wykopu. W dole koparki, spychacz, dźwigary. „Garnek” kopaczki wrzuca ziemię na transporter. Obok wyrębowa rośnie olbrzymia hałda piachu. W jednym miejscu dół jest szczególnie głęboki. Tu przy koparce i transporterze kręci się najwięcej robotników i ludzi w szarych górniczych mundurach.

— To już siarka — mówi jeden z inżynierów.

Schodzimy w dół. Duże bryły szarego iu poprzetykane żółtymi żyłami siarki. Są też prawie czyste, żółte kawały. Przytkamy zapalnik — bryłka smaży się jak nitka wysokoprotentowej wełny.

— Polska ruda siarkowa — mówi dyrektor inż. Gadomski — jest wysokiej jakości. Zawartość czystej siarki w złożach waha się w granicach 25—35 procent, a 35 proc. to prawie najwyższy światowy wskaźnik. Prądziwą rewelacją jest wielkość polskich złóż. Ostrożne obliczenia wskazują, że jest jej — w przeliczeniu na czystą siarkę — około 120 mln ton.

Ten „wynik” stawia nas na pierwszym miejscu w świecie. Klasyfikacja wygląda bowiem w ten sposób:

I Polska	— 120 mln ton
II Meksyk	— 111 „ „
III USA	— 90 „ „
IV ZSRR	— 78 „ „

A przecież obliczenia są bardzo ostrożne. Fachowcy nie bez podstaw przypuszczają, że jest jej grubo, grubo więcej...

## NARESZCIE NIE „NA HURRA!”

Wzyciecie, ale laikowi naprawdę to się rzuca w oczy: 5 lat od chwili „odkrycia” i tylko jedna kopalnia? Ciągłe jeszcze doświadczalna?

Dlaczego nie kopujemy „pełną parą”, dlaczego jeszcze nie zamieniamy siarki na ruble czy dolary?

Odpowiada dyr. Gadomski: — W ciągu tych pięciu lat zrobiono bardzo dużo. Przeprowadzono dokładnie i skrupulatnie badania geologiczne całego siarkonośnego obszaru. Ustalono miejsce zalegania złóż, opracowano w Instytutach geologicznych Polskiej Akademii Nauk całą dokumentację geologiczną, rodzaj gleb, w jakich występują złoża, głębokość położenia, możliwości wydobywania itd. itd.

Obecnie polskie kopalnictwo siarkowe dysponuje naukowo opracowanym procesem technologicznym wydobywania i przetwarzania siarki na co najmniej dwa lata naprzód. Te 5 lat daly to, że wszystkie — najdrobniejsze nawet — czynności, które podejmujemy, mają pełną dokumentację. Nic nie robimy „na hurra”. Wzięliśmy siarkę do ręki,

Warto przyrzeć się tej kopalni. To chyba jedna z niewielu nie „na głowie” realizowanych inwestycji. Tu nie może być pomyłek. Tutaj 2 X 2 jest na pewno 4.

## Plan produkcji siarki zakłada następujące cyfry:

1959/60 rok po 30 tys. ton czystej siarki.
1961 — 100 tys. ton
1962 — 120 „ „
1963 — 150 „ „
1964 — 200 „ „
1965 — 350 „ „
1966 — 500 „ „

Myśli się poważnie o osiągnięciu 1 miliona ton rocznej produkcji.



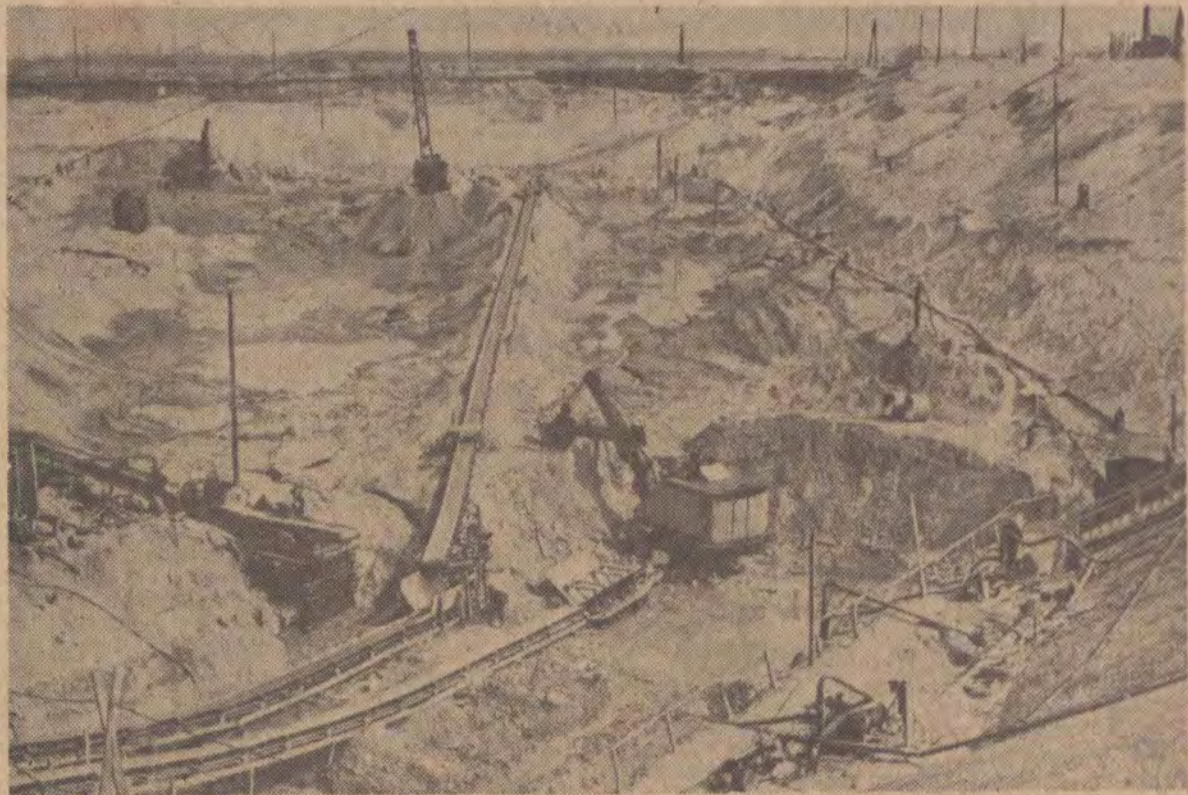
Przed kilku dniami znaleziono na głębokości około 16 metrów kości (prawdopodobnie mamuta). Chwilowo interesuje się tym inż. Fr. Razuński.

CAF. Fot. GRZEĐA

## CHEMIA PRZEZ DUŻE „CH”

Siarka to jednak taki dziwny pierwiastek, który dopiero wtedy nabiera wartości, gdy go się pieczolowicie obrabi, przerobi i w ogóle — „wypieści”. Trzeba więc zbudować olbrzymie zakłady przerobcze: kruszarnie, rafinerie. Takich zakładów powstanie w tarnobrzezkim Zagłębiu około 15 — przede wszystkim zaś fabryka kwasu siarkowego. Posiadanie przemysłowej produkcji tego związku to otwarcie drzwi dla Wielkiej Chemii.

Kwas siarkowy to: superfosfat — cenny i poszukiwany nawóz



Fragment kopalni w Piasecznie — prace odkrywkowe — zdejmowanie nawierzchni

CAF. Fot. GRZEĐA

szuczny i kilkanaście innych związków niezbędnych dla wszystkich przemysłów: od spożywczo, aż do ciężkiego.

Druga połowa XX w. to era przemysłu chemicznego. Fachowcy od spraw gospodarki na całym świecie zgodni są co do jednej rzeczy: na światowej giełdzie gospodarczej liczy się teraz także państwo, które posiada wysoko rozwiniętą chemię. Chemię przez duże „Ch”. Wybaczcie ten truizm. Przypominamy go dlatego, by uzmysłowić Czytelnikom wielkie znaczenie odkrycia polskiego skarbu — pierwiastka „S”. Produkcja stali — oczywiście, potężne maszyny: obrabiarki, frezarki, cały przemysł olbrzymich maszyn — to wszystko świat już umie i posiada. To jest jeszcze bardzo ważne, ale chemia to jeszcze jeden wielki eksperyment. Tu się bada, myśli, odkrywa, próbuje. Tu „wyskakuja” coraz to nowe rzeczy. Tu jeszcze tyle nieodkrytych możliwości, związków, przetworów, substancji i tworzyw, z których na giełdzie bardzo chętnie i dużo się płaci. A chemia to przede wszystkim również siarka.

Teraz więc jeszcze raz wiadomość: Nowoodkryte złoża w Polsce stawiają nasz kraj na pierwszym miejscu w świecie pod względem zasobów tego surowca.

Dla lubiących przeliczać wszystko na dolary i ruble jeszcze i to: na rynkach światowych siarka notowana jest coraz wyżej. Jej główni eksporterzy USA i Meksyk coraz niechętniej sprzedają ten cenny surowiec. Wejździemy więc na rynek w niezwykłe pomyślnej koniunkturze

## PRAWDA O UMOWIE Z CZECHOSŁOWACJĄ

U o też sprawa związana z siarką. Plotek krąży co niemiara: że sprzedaliśmy złoża Czechosłowacji, że buduje się czeskie fabryki itp., itp. Najlepiej więc zajrzeć do umowy polsko-czeskiej na ten temat.

Czechosłowacja udzieliła Polsce kredytu w wysokości 100 mln

rubli na zakup różnych artykułów w tym — urządzeń dla rozbudowy kopalni siarki. W zamian za to CSR ma priorytet w zakupie polskiej siarki (oczywiście nie wszystkiej, maksymalnie do 30 proc. rocznej produkcji) po cenach światowych. Jest to więc jedna z najkorzystniejszych umów, jakie zawarł nasz handel zagraniczny w ostatnim okresie.

## SIARKA I LUDZIE

Machów, Nagnajów, Piaseczno, Tarnobrzeg — małe wsie i miasteczka województwa rzeszowskiego. Drewniane okna tuż nad ziemią chałupy, kilka i mniej hektarów ziemi, kilkoro dzieci do objęcia niedużego gospodarstwa. Nienajlepsze ziemie, nuda małego miasteczka i wieczory w gospodarce. Co robić? Dam ziemię starszemu — młodzi będą pokrywadzeni... „Dorośłeś już, powinienes iść do pracy...”. „Cholera, znowu kiepsko obrodziło...”

Niestanne problemy tych nienajbogatszych terenów Polski. Dla ludzi tego województwa i sąsiedniej kieleczyzny słowo „siarka” równa się słowu „zmiana”. Kilkaset z nich znalazło już tu pracę, znalazło ją jeszcze bardzo wielu. Inwestycja wymaga inwestycji. Będzie nowy most na Wiśle, zacznie się budowa nowych dróg.

— „Kopalnie siarki znajdują się na terenie rzeszowszczyzny. Przyszła produkcja superfosfatu — powiedziały któryś z uczestników niedawnej konferencji w Tarnobrzegu — powinna więc przede wszystkim pójść na zaspokojenie potrzeb tych terenów...”

Słuszna myśl. Siarka ożywia rzeszowskie i kieleckie.

U już przy wyjściu z kopalni zatrzymało nas kilku robotników. — Porozmawiać? Bardzo chętnie... —

Pracują na samym dole. Okazuje się — potwierdza to potem rzeczoznawca BHP — że nie zagwarantowano im należytych warunków bezpieczeństwa. Stężenie siarkowodoru w niektórych (niektórych co prawda) miejscach

jest 5-krotnie wyższe od dopuszczalnego. Na samorzutnie zwołanym zebraniu robotnicy i szeregowi pracownicy kopalni dzielą się swymi uwagami z dziennikarzami.

Wśród pytań dominuje jedno: — Dlaczego ciągle tak mało zmechanizowane są prace? Pytanie zadawane nie bez racji. Wydaje się, że powinno nastąpić obecnie jakieś przyspieszenie toku inwestycji, że ciężkie odkrywcze prace powinny być coraz bardziej i szybciej zmechanizowane. Wprawdzie w 1960 r. Piaseczno dostanie wielonaczyniową koparkę, ale... jedna. A tymczasem — Polska — najbogatsze w siarkę państwo świata importuje ją w dalszym ciągu!

— Wiecie, co to znaczy kooperacja? — spytał dyr. Gadomski — o każdy kawałek drutu trzeba się „uzerać”...

Pytanie retoryczne. Wiemy. Tym bardziej, że inwestycja „siarkowa” nie umieszczona była w należytych rozmiarach w planach gospodarczych. Stąd te trudności. Siarka jest sprawą niezwyklej wagi państwowej — dlatego trzeba jak najszybciej otworzyć jej wszystkie drzwi.



U loskarz w tarnobrzezkiej budce „Ruchu” jest wyjątkowo rozmowny.

„Panie, co tu się teraz dzieje: ludzi ciągle pełno, ruch w mieście zrobił się jak nigdy... Nawet z zagranicy taaakimi — panie — autami przyjeżdżają. Nasz fryzjer to czasami z robotą nie może zdążyć. Ale ta siarka narozrabiała...”

Rzeczywiście. Niech „rozrabia”.  
MICHAŁ WALCZAK

## MARIAN PIECHAŁ

# PORACHUNKI Z OJCZYZNĄ

Porachunki ojczyzny z nami, jej obywatelami, odbywają się codziennie i trwają przez całe nasze życie. Ojczyzna żąda od nas tego i owego, zależnie od okoliczności, od podatku za wypicie kieliszka wódki aż do ofiary z naszego osobistego życia — i w jednym i w drugim wypadku pro publico bono. I to jest jej prawo, jak dotychczas, święte prawo ojczyzny.

Ale istnieje także, odwrotnie, święte prawo obywatela. Na czym ono polega? Ano chyba na tym, że jeżeli ojczyźnie wolno żądać od obywatela wszystkiego w imię dobra publicznego, to obywatelowi wolno żądać od ojczyzny wszyst-

kiego w imię dobra własnego, ale — oczywiście — ograniczonego względami dobra publicznego. Bo dobro publiczne w ostatecznym rezultacie służy dobremu własnemu, najbardziej osobistemu, obywatela. Tak tedy i ojczyzna, żądając od obywatela wszystkiego pro publico bono, ograniczona jest jednak w tym żądaniu względami dobra osobistego obywatela. I tu zaczyna się problem, problem odwrotny, bo znany już starożytnym, choćby Sofoklesowi w „Antygonie”, a w bliższych nam czasach choćby Szekspirowi we wstrząsającym aktualnością „Koriolanie”. Oba te utwory polegają na tragicznie nierozwiązalnym pytaniu: gdzie jest granica tych względów

z jednej i drugiej strony? Co i w jakich rozmiarach winien jest obywatel ojczyźnie, a co i w jakich rozmiarach winna jest ojczyzna obywatelowi? I kto ma być ostatecznym rozjemcą w tym ewentualnym sporze między nimi?

Odpowiedź może ktoś: państwo. Dobrze. Ale państwo, to przecież nie innego, tylko prawna forma ojczyzny. Te prawne formy czyli państwa mogą być różne, ale ojczyzna zawsze jest jedna. My, Polacy, wiemy, że można nie mieć państwa, a mieć ojczyznę. Myśmy nieraz w dziełach naszych tracił państwo, ale nigdy nie traciłmy ojczyzny. Jednak byt ojczyzny, jej rozwój, jej dalsze istnienie, bez formy prawnej czyli państwa jest

zagrożony. Wiemy bowiem z nauki zwanej historią, że ojczyzna nie są nieśmiertelna. Zwłaszcza te, które nie mają własnej formy prawnej czyli państwa.

I dlatego wszelkie nasze porachunki z ojczyzną sprowadzają się właściwie do porachunków z jej formą prawną czyli państwem. Czy wolno nam takie porachunki robić? To zależy. Właśnie „Antygonie” Sofoklesa poucza nas, jak i w jakich granicach wolno, a

(Dokończenie na str. 4)

str. 3  
odgłosy



1 Maja w łodzi przed 20 laty

# PAN BARON i ROBOTNICY

**R**ównie dwadzieścia lat temu wybuchł najbardziej chyba osobliwy strajk w dziejach łódzkiej klasy robotniczej. Strajk ten trwał od 20 stycznia do 7 maja 1938. Ponad 500 robotników i ponad 100 robotniczek przez kilka miesięcy nie opuszczają murów fabryki włókienniczej barona Hoeblera. Cała opinia miasta poruszona była walką kilkuset włókienników, którzy święta Wielkiejnocy i 1 Maja spędzili w martwej, nieczynnej fabryce.

Pan baron postanowił obniżyć płace robotnicze i wyrzucić na bruk jedną zmianę. Strajk był protestem przeciw zamierzeniom fabrykanta. Już przed strajkiem uderzała niezwykła solidarność klasowa robotnicza, posadzanymi zazwyczaj o niski stopień świadomości. Od roku 1936 żadna z nich nie zarabiała pełnej dniówki, a jednak załoga stawiała na pierwszym miejscu troskę o to, by nikt nie został bez pracy. Nawet w najcięższym okresie, kiedy zakłady czynne były tylko dwa dni w tygodniu, robotnice wolały pracować po jednym dniu, niż skazywać swoje towarzyszy na bezrobocie.

Pan baron odmówił jakichkolwiek pertraktacji z robotnikami, grał na zwłokę, „na przetrzyma-

nie”. W odpowiedzi spotkał się ze strajkiem, którego organizacja, rozmach, nie wiele miały sobie podobnych w dziejach naszego miasta. Brama fabryki, strzeżona przez wybraną specjalnie milicję porządkową, stała otworem, każdy ze strajkujących mógł w każdej chwili opuścić teren fabryki. A jednak wychodzili tylko robotnicy karmiące maleńkie dzieci i zawsze powracali.

Po trzech tygodniach strajk u Hoeblera stał się sprawą olbrzymiej większości robotników łódzkich. Akcja pomocy miała początkowo charakter spontaniczny, załogi niektórych fabryk opadły na ręce strajkujących. Zasiłki dzielił sprawiedliwie Komitet Strajkowy. Warto tu dodać, że około 350 kobiet, których mężowie pracowali w innych fabrykach, zrezygnowało dobrowolnie z zasiłku na rzecz bardziej potrzebujących.

Po dwóch miesiącach strajku piła sala łódzka prasa o robotnikach Hoeblera:

„Czyż są komunistami dlatego, że w domu domagają się jeść ich biedne dzieci, że skreślają się z bór-

Dokończenie na str. 8



Ze strajku u Hoeblera. Sala 3 — obrączniaki. Na pierwszym planie członkowie komitetu strajkowego: Adela Medyńska-Jaranowska, Helena Lewa, Józefa Simona

Zdjęcie: z archiwum referatu Historii Partii przy KŁ PZPR

im jeszcze pojawił się na łamach „Życia Warszawy” pamiętny memoriał pracowników kultury z Rzeszowa, już tu i ówdzie mówiono na temat niebezpieczeństwa pornografii więcej niż kiedykolwiek. Wygląda trochę tak jak gdyby temat narodził się nagle... Takie narodziny mają już u nas pewną tradycję. „Nagle” narodził się alkoholizm, potem prostytutka, później chuligaństwo... Nie o tradycji jednak pisze, tylko o tradycjonalistach. I od razu ostrzegam. Ani słowem nie zaatakuję działaczy z Rzeszowa. Nie pomówię ich o obskurantyzm ani o żadną małomiasteczkową ciemnotę. Uważam bowiem, że w ich memoriale znajdujemy dużo zdrowego rozsądku. Ostatecznie pedagogzy, choć może nienajlepsi, w swoich sformułowaniach mają powody do obaw — pornograficzne tendencje widać przecieć tu i ówdzie w prasie czy filmie.

Jak dotąd mówiono o memoriale? Przedziwnie. Owszem, poświęcono mu dużo miejsca na łamach poważnych periodyków; miazdżono „małomiasteczkową kulturową”. Odkryto się żalosem widowisko decydującej w najgłębsze surmy i rozdzieranie szaf. Powoływano się na Srodkową Europę i r. 1958, czyli Drugą Połowę Dwudziestego Wieku. Między zasadniczymi argumentami nie zabrakło... Michała Anioła.

Michał Anioł? Uważny czytelnik prasy kulturalnej już wie, o co mi chodzi. Oczywiście o „Rozmowę przy mikrofonie” zorganizowaną przez „Przegląd Kulturalny” a przyozdobioną po wydrukowaniu przez freski Michała Anioła... A Michał Anioł, jak to miał w zwyczaju i tutaj oddał wszystkie bez wyjątku cechy ciała ludzkiego, mogące stać się przedmiotem uważnej zadumy osób zainteresowanych, kontemplujących dzieło ze zdwojoną uwagą. Oczywiście — dzieło Michała Anioła znane jest nie tylko turystom, zwiedzającym niegdyś Kaplicę Sykstyńską, ale i każdemu maturzyście, przynajmniej ze słyszenia. Donosił fakt nowej publikacji prac Michała Anioła daje się wyhumaczyć jedynie specjalnymi celami, jakie przyświecały redakcji. Przypuszczam, iż analogiczne cele kierowały Redakcją „Przeglądu”, gdy ustalała skład osobowy dyskusantów. W dyskusji wzięli udział literaci: Władysław Bieńkowski, Jacek Bocheński, Jerzy Broszkiewicz, Anna Kowalska, Julian Przybór oraz Jan Kott.

Dobór nazwisk istotnie staranny ale poszczególne wypowiedzi mało się między sobą różniły. Należy

Jednak przyznać, że Redakcja „Przeglądu” uczyniła potem co było w Jej mocy. Teksty zostały różnicowane przez... krój czcionek drukarskich! Broszkiewicz „po-szedł” kursywą, Kott — pełtem, Bocheński — nonpareilem, Przybór — znów kursywą, ale za to Kowalska pochyłym garmondem. Później Broszkiewicz „idzie” kursywą a Bieńkowski nową czcionką — garmondem zwykłym. Pomysł wcale udany.

Co innego pomysł dyskusji. Ten spalił na panewce, jako że obyło się bez rewelacji, przynajmniej jakościowych, wnoszących coś nowego do omawianych kwestii. „Moralność a Sztuka”! To był temat monologowy, w których nie sposób znaleźć sformułowań leżących poza obszarem klasyki ba-nału.

normalny człowiek z przyjemnością ogląda tego rodzaju zdjęcia i nie dziwi się, znajdując je na łamach swej ulubionej gazety. Zresztą nie tylko pisma codzienne. Są czasopisma filmowe, przedysponowane do publikowania zdjęć „gwiazd” w sposób najbardziej naturalny. Jest „Przekrój” magazyn z atrakcjami, redagowany dowcipnie, wg dobrego gustu. Kiedy natomiast periodyk o charakterze literackim, typu „Tygodnika Zachodniego” — przedrukowuje z prasy zachodniej akt — zdjęcie kiepskie z punktu widzenia jakości artystycznej, to już zachodzi zupełnie inna sprawa. Tutaj mamy do czynienia z epatowaniem niewybrednych gustów i ta sytuacja, co tu ukrywać — naprawdę jest żenująca.

Ale po co wytaczać najcięższe

EDWARD ETLER

## OKOPY jejmość PORNOGRAFII

Czego nie zauważono? Przede wszystkim istoty sprawy samego sedna zagadnienia. Oto znakomita większość periodyków, pomawianych w rzeszowskim memoriale o szerzenie zła, ulega po prostu chęciom szerzenia kultury... plebejskiej! Nie dziś przecieć zauważono, że czytelnik prasy leższego kalibru — szczególnie zainteresowaniem darzy ów, określony gatunek zdjęć. W trosce o poczytność, a więc rentowność i popularność — większość prasy polskiej poszła na przeciw tym zainteresowaniom. I nie ma się czego zarzekać. Czy zachodzi tu jednak wypadek schlebienia owym gustom, które niegdyś jakże pochopnie, ochrzcziliśmy mianem „drobnomieszczanek”? Czy akcja, mająca na celu ustrakcyjnić szpał, w sposób wiadomy — rzeczywiście jest plagą o charakterze społecznym? Wszystko zależy od gatunku publikacji.

Wszystko zależy od rodzaju... Nie wolno bowiem wrzucać do jednego worka zdjęć o wysokich walorach artystycznych z fotografiami, które tych walorów nie posiadają. Ładne zdjęcie pięknej dziewczyny, nawet skąpo ubranej, o ile jest zgrabna — nie woła o pomstę do nieba. Występowanie przeciw — byłoby klasycznym przykładem zakłamania. Bo każdy

dziela? Zoologiczna zaściankowość, komiczny partykularyzm każe operować argumentami najwyższej rangi, kiedy chodzi o rzecz najmniej skomplikowaną. I jeśli Rzeszowianie w szlachetnym zapale palnęli nie jedną gaffę (casus Mrozek, pomawiany o „szarganie świętości”), to w sumie nie wydadzą mi się bardziej śmieszni, niż ich kulturalni a współcześni przeciwnicy ze Stolicy. Oto grono Europejczyków załatwiło dyskusję, jak gdyby chodziło o zagadnienie czysto teoretyczne i nie wiem jak odległe. Jan Kott mówił na przykład o „niewinnych w zasadzie strip-teasach”. Warto go więc poinformować, że wśród młodzieży modne są od niedawna prywatne piwnice, gdzie obok strip-teasów odbywa się coś nie dość wiecej. A jeśli już strip-teasy, to nie wiem, czy nie odbywają się one wg recepty zaczerpniętej z barwnych reportaży właśnie Jana Kotta, albo innego turysty, równie inteligentnie władającego piórem.

Pamiętam reportaże Kotta, zaczynający się od słów: „Paryż oddaje się całemu pierwszemu porankowi i pierwszemu wieczorowi. Jak uliczna dziewczyna, albo jak wielka miłość...”. Tamże wyłożone były trzy reguły strip-teasu. Dowcipnie, kulturalnie, dokładnie. Kto stąd zaczerpnął naukę? Czy tylko młodzież? Nie tylko...

Moralność — poważne słowo. Może być pisane przez duże „m”. może to być słowo bliskie na codzień. Ot, na przykład, niedaleko Łodzi wykryto niezłe prosperujący dom publiczny, miejsce „pracy” kilkunastoletnich dziewcząt... To także przyczynek do zagadnienia moralności — mieszczącej liczne zagadki natury obyczajowej, warte uwagi specjalisty socjologa. „Odgłosy” w felietonie z wokandy sądowej opisywały dcsy charakterystyczny w tym względzie wypadek. Łobuz zgwałcił szesnastoletnią dziewczynę. Łobuz jest na wolności i jak dawniej przesiaduje w kawalerii, gdyż organa wymiaru sprawiedliwości są bezsilne... Dlaczego? Po prostu rodzice poszkodowanej nie zgłaszają pretensji. I w myśl obowiązujących przepisów, prokuraturze brak podstaw do wszczęcia postępowania sądowego.

Jakie wnioski wypływają z powyższych uwag? Można je zamknąć w jednym słowie: dość! Warto, bo jest ku temu wyraźna potrzeba — bez bicia w święte bębny ukroczyć zapędy głupoty — która istniejącemu złu dostarcza kabotyńskiej rozrywki i szermuje hasłami... zapotrzebowania społecznego? Wieszny absurd! Ileż już dla tego hasła nie wyprawiano u nas rzeczy śmiesznych, smutnych, tragicznych? Moment epatowania najgorszych gustów — wyklucza jakąkolwiek akcję dydaktyczną. Memoriał rzeszowski znalazł się na czasie. Jego słabe strony — wynikają z prowincjonalizmu. Ten, niestety, cechuje wszystko, co się u nas dzieje. Zarówno akcje „robione pod publikę”, jak atak na nią i wreszcie — eskapistyczne dywagacje „centralnych” literatów, hojdujących metodzie uniku.

MARIAN PIECHAL

Dokończenie ze str. 3

## PORACHUNKI Z OJCZYŻNA

„Koriolan” Szekspira — jak i poza jakimi granicami nie wolno. Kto nie pamięta, niech odczyta uważnie jeszcze raz oba te utwory. Znajdź w nich pełną i bardzo dokładną odpowiedź.

Literatura polska liczy nie jedno podobne dzieło. Wydaje mi się że jest to zrozumiałe w narodzie, którego forma prawna czyli państwo wskutek szczególnych warunków historycznych było w stanie ciągłego zagrożenia. Ale też i z tego względu nasze obywatelskie porachunki z ojczyzną przybierają wyjątkowy wyraz, bardziej podobny do problemu „Antygony”, niż „Koriolana”. Względny sumienia ludzkiego górują u nas nad względami szczęścia osobistego.

W ogóle każde wyjątkowe dzieło literackie, to zawsze jakiś porachunek z kłmś lub czymś. Może być także z ojczyzną. Uważam, że wszystkie dzieła Conrada, pisane przez niego w języku angielskim, to taki jeden, wielki porachunek z ojczyzną. Inni wiecej w naszej literaturze rachowali się z ojczyzną nie tak może zasadniczo i ogólnie, ale za to niemięli gruntownie i bardziej szczegółowo, wyciszając raczej swe argumenty

przeciw jej formie prawnej czyli państwu, niż przeciw samej ojczyźnie. Jeśli weźmiemy pod uwagę „Satyrę” albo „Odprawę posłów greckich” Kochanowskiego, „Kazania sejmowe” Skargi, „Niebo-ką Komedie” Krasieńskiego, „Wesele” Wyspiańskiego, czy też „Różę” lub „Przedwiośnie” Żeromskiego, to zawarte w nich porachunki z ojczyzną były zawsze dyskusją z taką lub inną jej formą prawną czyli ustrojem, ale widzianym i osądzanym myślą i sercem najlepszych w tej ojczyźnie. A nie myślą i sercem najgorszych. Jak to mamy w „Cmentarzach” i w „Następnym do rajów” Marka Hłaski. Jeżeli ojczyzna to ogród najpiękniejszych naszych snów, tęsknot i nadziei, to przecieć nie można go osądzać miarą śmietnika. Bo wtedy już godzimy w ojczyznę. Juliusz Słowacki pisał w „Grobie Agamemnona”:

„O Polsko! Póki ty duszę anielską  
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,  
Póty kat będzie rwał twoje cielsko,  
Póty nie będzie twój miecz zemsty straszny  
Póty mieć będziesz higienę no  
sobie  
I grób — i oczy otworzone w grobie!”

Słowacki miał prawo moralne mówić o „czerepie rubasznym” swej ojczyźnie, bo pod nim widział jej „duszę anielską” i jej oczami widział ją i jej sercem osądzał ją. Ale czy ma się prawo moralne osądzać „czerep rubasznym” jakiegokolwiek ustroju swej ojczyzny, jeżeli pod nim czyli w tej ojczyźnie widzi się tylko zezwierzęconego pijaka, mordercę i — uczciwszy uszy — pospolitą kurwę? I ich wyobraźnią i odruchami mierzy się rzeczywistość? Odpadek ludzki nie może być miarą normalnego człowieka, a śmietnik miarą ojczyzny.

Ale ze stanowiskiem, które osądza ustrój miarą złego samopoczucia pijaka, mordercy i ladacznicy, choćby nawet ta godna siebie trójca była wytworem rzeczywistości — dyskutować nie można, bo to już godzi nie tylko w ustrój, lecz w ojczyznę. Tym większą zniechęca dla ojczyzny, że właśnie autor tak sądzi i tak ją widzi. Albowiem to nie jest prawda, że ojczyzna nasza potrafi przekształcać obywateli tylko w życiowych bankrutów i nihilistów, a nie — przez kontrast — w bohaterów i świętych. Przecieć najbardziej ponury régime carski rodził obok Azełofów także Trauguttów, Montwiłłów-Mięcekich i Ludwików Waryńskich. A krwawy régime faszystowski obok Quislingów, Darlanów i Pétainów również Matteottich, Dymitrowów, bohaterów getta warszawskiego i powstańców Warszawy. A czy naszą ludową

oyczyznę można sprowadzić do bohaterów Hłaski, czy można nie dostrzec trudu pokolenia, które chce przynieść wiosnę?

Ostatnim wielkim porachunkiem z ojczyzną w literaturze polskiej było „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego. Było ono porachunkiem z ojczyzną, ale nie przeciw niej, lecz za nią. Cienie i światła rozłożone zostały w tym porachunku sprawiedliwie. Cienie mierzyły w ustrój, ale światła oświetlały ojczyznę. Żeromski w nią wierzył i choć widział w niej wiele ze śmietnika, to jednak nie mierzył — nie osmieliłby się nigdy mierzyć jej śmietnikiem. Dawał tylko świadectwo prawdzie, wymierzał sprawiedliwość widziannemu światu. I choć wnioski były gorzkie, to jednak nie beznadziejne. Gorycz płynęła z niedoskonałości ustroju, ale nadzieja wynikała z wiary w ojczyznę.

Bo jak powiedział Władysław Broniewski we wrześniu 1939 roku:

„Są w ojczyźnie rachunki krzywd,

obca dłoń je też nie przekreśli”,  
I stanął z bronią w rękę w obronie tej ojczyzny, która miała zły ustrój, i niejednego złodzieja, mordercę i ladacznicy. Ale Broniewski w przeciwieństwie do Hłaski potrafił pod tym „czerepem rubasznym” dojrzeć „duszę anielską”, dojrzeć przesłanki ustroju lepszego, i dlatego jego porachunek z ojczyzną był sprawiedliwy. I tylko do takiego porachunku z ojczyzną obywatel ma prawo.

odgłosy str. 4



# OGRÓD MIŁOŚCI



1953 - GABRIEL KOŁAK

CYRK

**UWAGA! KONKURS DODATKOWY!**  
 15 (piętnastu) uczestników konkursu, którzy jako pierwsi przyniosą do Redakcji trafne odpowiedzi (w terminie do 3 maja b.r. godz. 11) otrzyma w nagrodę bezpłatny bilet wstępu na stadion LKS na zakończenie etapu Wyścigu Pokoju.

**Kupon II Konkursu „Odgłosów”**  
 W „Ogrodzie miłości” znajdują się:

- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....
- .....

Imię i nazwisko .....

Adres .....

**Na czym polega konkurs?**  
 W „Ogrodzie miłości” znajduje się 12 par (bądź postaci) zakochanych, znanych z historii, literatury i mitologii. Zadanie konkursowe polega na odgadnięciu imion lub nazwisk przynajmniej 9 par i wpisaniu ich do kuponu według oznaczonych obok rysunków numerów.  
**Termin nadsyłania kuponów do dnia 15 maja 1958 r.**  
 Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowo wypełnione kupony (tzn. wpiszą imiona lub nazwiska 9 par) rozlosowane zostaną następujące nagrody:  
 I. Radio „Szarotka”. II. „Dzieła wybrane” Reymonta (12 tomów). III. „Dzieła” Londona (10 tomów). IV. „Listy wybrane” Bałuckiego (10 tomów).



## ANNA POGONOWSKA



Anna Pogonowska wydała dotychczas trzy tomy wierszy: „Węzły” w roku 1948, „Przemiany” (jako arkusz poetycki) w 1951 i „Kregi” w roku bieżącym. Napisała także, mając lat osiemnaście, powieść. Była nawet ta powieść drukowana w odcinkach jednej gazety, ale pod pseudonimem. Jednak autorka jeszcze dziś nie chce go zdradzić.

— Co pani wydaje w najbliższym czasie?

— Wychodzi niebawem w Wydawnictwie Łódzkim nowy zbiorek moich wierszy pt. „Urzeczywistnianie”. Mam też nadzieję, że w najbliższej przyszłości ukaże się w wydaniu książkowym „Młodość okupacyjna”, gawęda napisana tradycyjnym syrokomłowskim wierszem. Na druk czeka też moja monografia o twórczości Leśmiana.

— A nad czym pani obecnie pracuje?  
— Zawsze nad wierszami. A jeśli będę miała czas, spróbuję prozy — takiej awangardowej powieści.

## POMNIK

Wynurza się twarz dzieciństwa — nie płacz —  
Zaciska małe usta — czarnymi patrzy oczyma —  
Zawrotny lej nieba odkrywa  
Krażek lustra.

Spadać bez dna — ileż razy  
Szybowałem z wymiotami nawet —  
Organizm  
Na dwa skrzydła rozdarty.

Między otchłaniami  
Jest miejsce na którym stoję  
Słyszę śpiew słowika  
Kłaska  
Cały ze srebra  
Głos —  
Jestem  
I dotykam  
Szlachetnego odlewu muzyki  
Tchu.



## RÓŻA

Kwitła z uporem  
A była to gałąź kolczasta  
Rozkładała grube płatki miękko  
Karmiła wiatr.

Ustalana słońcem nie słońcem  
W lustrach słowika ciemna  
Uciekała mechaniką woni  
Od kwiatu którym wędla.

## NIEPEWNOŚĆ

Krajobraz ogrodzony twardym murem morza  
Pod wapnem nieba trzepoczą maszyny  
Krwia poruszana, benzyna, innymi  
Silami (Nie wiem co krąży w owadach?) —  
Bardzo niemilo deptać ziemię którą.  
Nadto świetlista. Tłusta skiba roli  
Jak skrzydło chwije się pod moją stopą.  
Czyżbym dosiadła anioła?

Ja bym wolala żeby ciemne brzozy  
Rodziły gwiazdy wilgotne i sarny  
I żeby globem dęby zszedłszy  
Nie pióropusze astralne.  
Gdyby zaś anioł to anioł nie z ognia  
Który rozetrze w błysk chabry i zboża  
Lecz anioł cały ulany z wieczności  
Róży stojącej w ogrodach.

## SĄ LASY CZARODZIEJSKIE

Są lasy czarodziejskie  
Lecz muszą na wzgórzach  
Ulatywać. A wtedy gdy topnieją śniegi  
Fijołkowe gałęzie w barwach zorzy nurzać.

Nie wiem — cieniem czy szumem  
Promieniem czy śpiewem  
Jest zaklęcie.  
Niech nie wiem.

Brzozy dęby barwinki  
Mchu zjawiska miękko  
Stoją koło mej ręki

Złoty kształt kałuży  
W zmierzchu światłem posłuży.

## PRZEZ ŻELAZNY MOST

Przez żelazny most z kwiatem czerwonym  
Nad wodą szła  
„Jak padnę na dno z kwiatem czerwonym?”  
„Nie bój się — Skrzydeł nie ma twój kwiat”.

## LITERATURA AUSTRIACKA, SZWAJCARSKA.

**JAN KOPROWSKI**  
W kulturze niemieckiego kręgu językowego dzieją się rzeczy ciekawe. Obserwujemy oto, jak zaczyna dokonywać się podział na sfery wpływów poszczególnych literatur. Austriacy zawiadnęli królestwem powieści, Szwajcarzy — dramatu, a Niemcy mają, jak zawsze, przewagę na terenie teorii i wydają sporą ilość dzieł z dziedziny filozofii, historii i teorii literatury oraz teorii dramatu.

Jakież powieści cieszą się dziś w Austrii, Szwajcarii i Niemczech (zachodnich) największym powodzeniem? „Człowiek bez przymiotów” Roberta Musila, „Śmierć Wergiliusza” Hermana Brocha, „Dzieła zebrane” Józefa Rotha, no i oczywiście Franz Kafka. Wszyscy oni, a zwłaszcza pierwsi trzej — to zaprzyśnięci Austriacy, których życie i twórczość związane były z Wiedniem i przepojone są ową osobliwą atmosferą starej monarchii austro-węgierskiej. Wszyscy już nie żyją (Roth zmarł w roku 1939 w Paryżu, Musil w r. 1942 w Szwajcarii, Broch w r. 1951 w Ameryce, a Kafka jeszcze w r. 1924), ale wpływ

ich prozy staje się większy i silniejszy niż kiedykolwiek. Zwłaszcza proza Roberta Musila świeci swój prawdziwy triumf. I to nie tylko na obszarze języka niemieckiego. We Francji „Człowiek bez przymiotów” stał się bestsellerem (krytycy paryscy nazwali Musila

„Austrią, której kultura i

# KSIĄŻKI.

francuskim Proustem — „le Proust autrichien”), przetłumaczono jego powieść na włoski i angielski. Robert Musil zaliczany jest do najwybitniejszych prozaików współczesnej Europy.

W Polsce, niestety, zupełnie nieznany. Dopiero ostatnio kilka fragmentów jego powieści przełożyła rzeszudzona Wanda Krągelnikowa. Również nieznany jest u nas Herman Broch, a Józef Roth, pilnie przed wojną na polski tłumaczony, należy dziś do pisarzy na naszym gruncie całkowicie zapomnianych. A warto tu

literatura, rozwijały się w obrębie krzyżujących się wpływów słowiańskich, romańskich i niemieckich, wytworzyła specyficzny, niepowtarzalny rodzaj twórczości, przepojonej humorem i liryzmem, niefrasobliwością i melancholią, powagą i lekomyślnością. Jakże charakterystyczny dla stonków austriackich jest ów dowcip, powtarzany dziś w jednym z kabaretów wiedeńskich: „Gdy rządzi jedna partia bez opozycji to jest cykultura; gdy jedna partia rządzi, a druga znajduje się w opozycji, to jest demokracja; ale gdy rządzi

## LITERATURA AUSTRIACKA, SZWAJCARSKA.

„Księży Młyn” przed stu laty



połowie XIX w.). Maszyny i sprzęt fabryczny szacowano wówczas na 30 tys. rubli srebrnych.

Fabryka otoczona była przyspętym parkiem-lasem (dziś część parku szpitalnego). Na litografii uwidacznia się „do-

pięro co” postawiony czworokątny komin dla przyszłych maszyn parowych...  
ZDZISŁAW KONICKI

## WIDOKI DAWNEJ ŁODZI

W czasie gdy Łódź liczyła blisko 2.500 rocznych warzatków tkackich — w mieście zbudowano już wiele murychanych gmachów użyteczności publicznej i kilka okazałych budynków fabrycznych. Budowle te prawie wszystkie przetrwały do dziś.

Do reprezentacyjnych budowli dawnej Łodzi należy z pewnością „Stary Moes”. Stara przedziałnia Fryderyka Moesa stała w jednym z najdogodniejszych punktów osady Łódki — w niewielkiej odległości od starego „kolejowego mlyna”.

Litografia W. Walkiewicza z połowy XIX w. przedstawiająca „zakład fabryczny Moesa” ukazuje nam prostokątny, czteropiętrowy budynek o akcentach architektury pałacowej epoki klasycyzmu polskiego.

Fabryka ta wzniesiona została ok. 1849 r. dzięki wysiłkom pożyczkom z Banku Polskiego. Już w r. 1851 zatrudniała 82 ludzi. Była to czwarta co do wielkości łódzka przedziałnia bawełny (po Geyerze, Grohmanie, Landem). Przedziałnia zajmowała 7 maszyn samoprzędnych (ang. Selfacting) z 2.336 wrzecionami, naturalnie poruszanych w pierwszym okresie siłą spadku wody (doprowadzanej sztucznym kanałem ze stawu na Jasioni). W ciągu roku przetwarzano wyrobów w ilości blisko 35.000 rubli rocznie (w

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

# PISARZE, KTÓRZY

Ożywienie przynosił schyłek ub. wieku. „Rozwój” Wiktora Czajewskiego i księgarnia Ludwika Flisera stają się ośrodkami skupiającymi braci pisarsko-kolejnicarską. Z „Rozwojem” współpracują Z. Bartkiewicz, K. Bleszyński (obecnie mieszkający w Łodzi — pisarz, członek Związku Literatów), A. Gliszczyński, B. Gorczyński (debiut!), M. Hertz (autor dramatu „Ananke”), S. Łopiński, ks. A. Szandlerowski i inni.

Rowiński i Gliszczyński wchodzi do dziejów Łodzi jako korespondenci pism stołecznych. Wtedy w modzie było, że każdy ważniejszy organ miał w naszym mieście swego korespondenta.

Władysław Rowiński dał naszemu miastu tom nowel pt. „Julka” (1899).

Artur Gliszczyński przebywał w Łodzi w latach 1890—1901 jako korespondent „Kurieru Warszawskiego”. Nie będąc rodowitym łódzianinem szybko jednak związał się z naszym miastem jako działacz i pisarz. Wydawał rocznik humorystyczny „Łódzianka” (wyszły 3), lecz rozgłos zdobył mu zbiór wierszy pt. „Z mroku i dymu” (1901). Znał się z nim można wierne o-brazki łódzkiej niedoli robotniczej. Toteż Gliszczyński

cieszył się sławą łódzkiego Berangera.

W latach 1894—1897 mieszkał w Łodzi Ignacy Dąbrowski, autor głośniejszej „Śmierci”. Miał pisać na zamówienie „Tygodnika Ilustrowanego” powieść pt. „Mistrz”, ale zamiary zawiodły. Łódź dała jedynie pisarzowi natchnienie do noweli „Idylla”, umieszczonej w III tomie pism pisarza.

Nie wiadomo, czy nie miał kontaktów z Łodzią Andrzej Niemojewski? Chyba tak. W „Scenie polskiej w Łodzi” (1901) ukazał się jego artykuł pt. „Jaki teatr może mieć Łódź?”, a księgarnia Rychliński i Wegner wydała (nieco później) „Listopad”. Na ślad związków z Łodzią Tadeusza Micińskiego wpadł Tadeusz Chrościelewski. Badanie ksiąg metrykalnych pozwoliło stwierdzić, że w r. 1873 w Łodzi w kamienicy przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Włocławskiej przyszedł właśnie na świat ów twórca, jeden z najgłośniejszych w epoce Młodej Polski. Jak silne są jego związki z Łodzią? Rzecz do zbadania.

Wiadomo, że Miciński ukończył w Warszawie V gimnazjum, a więc rodzina musiała się chyba wcześniej do stolicy przenieść.

Ta sama ciekawość Łodzi, która kierowała piórem Ro-

wińskiego i Gliszczyńskiego, jak wiadomo, sprowadziła do naszego miasta Reymonta. Łódzianie „Ziemia obiecanej” bardzo nie lubią. Nowele „Pewnego dnia” witała natomiast z uznaniem.

Warto przypomnieć, że „Ziemia obiecana” (ukazała się w r. 1899 u Gebethnera i Wolfa) została obcięta przez cenzurę o 4000 wierszy. Właśnie te partie były dla przemysłowców niemiłe.

W roku 1901 Łódź miała nielada przeżycie. Przyjeżdżał Henryk Sienkiewicz. Fryderyk Sellin otwiera przy ulicy Konstantynowskiej Wielki Teatr. Teatr ten podówczas okazały już za moich szkolnych czasów wywierał widok opuszczonej olbrzymiej rudery, w której odbywały się walki zapaśnicze z nieodrodną „czarną maską”. Ale wtedy Łódź triumfowała. Na otwarcie zjechała elita artystyczna Warszawy z Sienkiewiczem i Siemiradzkim na czele.

Dla upamiętnienia tych odwiedzin „Rozwój” urządził w dwa lata później konkurs dramatyczny im. Henryka Sienkiewicza (pierwsza nagrodę zdobył Tadeusz Rittner za sztukę satyryczną na biurokrację pt. „Maszyna”).

We wrześniu 1903 r. właśnie w związku z tym konkursem Sienkiewicz przy-



dwie partie bez opozycji — to jest Austria".

II.

zwajcaria — kraj spokoju i wieloletniego dobrobytu — stworzyła wielką epicką powieść, której najcharakterystyczniej-

chodzie, a krytycy mówią o niej, że jest „prawie doskonała”. Bohaterem powieści Frischa jest inżynier Walter Faber, a akcja jej toczy się w samym środku współczesności, bo w roku 1957. Inżynier Walter Faber to postać zracjonalizowana do szpiku kości, jego zdaniem

czytamy, takie np. zdanie: „Czym jest lato bez lotu jaskółek i czym kraj bez mogli poetów?”

Nie ma dziś w Niemczech wybitnych powieściopisarzy. W NRD poza Arnoldem Zweigiem i Anną Seghers trudno wymienić kogoś więcej, a w NRF poza Hermanem Hesse (od lat mieszkającym w Szwajcarii) i Hermanem Kasackim, jest wprawdzie legion nowel i powieściopisarzy, ale nie odgrywających wybitniejszej roli.

Rozwijają się natomiast w Niemczech zachodnich nauki filozoficzne. Karol Jaspers, Martin Heidegger, Romano Guardini — to wybitni filozofowie, wpływający na rozwój europejskiej myśli filozoficznej. Mnóżą się dzieła dotyczące historii i teorii literatury. Günther Blöcker, Walter Jens, Franz Lennartz, Karol August Horst — to autorzy wielu rozpraw o zagadnieniach prozy i poezji, dyskusowanych i spornych, ale mających niemałe znaczenie dla orientacji w zawiłych problemach literatury niemieckiej i światowej naszego czasu.

A na końcu — nigdzie nie ukazało się tyle książek o zagadnieniach dramatu, co właśnie w Niemczech. Mnóżą się prace o poszczególnych twórcach np. o Bertolcie Brechcie, lub też o dramaturgii różnych krajów i różnych autorów np. książka Siegfrieda Melchingera „Drama zwischen Shaw und Brecht”, czy wreszcie prace z dziedziny teorii dramatu, jak np. głośne dzieło Peter Szondi'ego „Theorie des modernen Dramas”.

Jednego w tym wszystkim należy żałować: książki te trudno do nas sprowadzić, skonfrontować z nimi naszych własnych poglądów i przemyśleń. Być może kontakt z tymi innymi pracami teoretycznymi pomógłby nam rozwiązać niektóre problemy naszej sztuki.

Ba! Ale jak to zrobić?

KTÓRE NALEŻY SPROWADZIĆ

szym przedstawicielem był Gottfried Keller. (Nawiasem mówiąc wielki przyjaciel Polaków, po upadku powstania styczniowego stanął na czele komitetu pomocy dla polskich emigrantów). Lecz oto po ostatniej wojnie zakwitł nieoczekiwanie w tym kraju — dramat. Dwa dramatopisarze szwajcarskich, piszących po niemiecku, podbiło swymi utworami scenicznymi całą nieludwie Europę. Są to: Fryderyk Dürrenmatt i Max Frisch. W NRF mówi się dzisiaj nie bez odcienia żalu: „Mamy teraz w Niemczech dwóch wybitnych dramaturgów, ale obaj są Szwajcarami!”.

Fryderyk Dürrenmatt, autor granej w kilku teatrach polskich „Wizyty starszej pani”, jest pisarzem słosunkowo języcznym: nie przekroczył jeszcze czterdziestki. I choć pracą literacką zajmuje się dopiero od 1947 roku, zdołał napisać sześć dramatów, kilka powieści o charakterze detektywistycznym i parę słuchowisk radiowych, które zdobyły sobie uznanie zarówno krytyków, jak i szerokiej publiczności.

Mniej w Polsce znanym, ale niemniej wybitnym pisarzem, jest Max Frisch, zwolennik Sartre'a i egzystencjonalizm, autor dramatów, powieści i licznych artykułów i wypowiedzi ogłaszanych w prasie. Ostatnia jego powieść „Homo Faber” stała się głośna na Za-

wszystko na tym świecie można zmierzyć i zbadać. Frisch wyraża w swej powieści, jak gdyby swoistą filozofię pozytywną naszego wieku. Oto jakie charakterystyczne wyznaczenie bohatera książki: „Nie wierze w rządzenie losu i przeznaczenie. Jako technik przywykłem do tego, by posługiwać się formułkami rachunku prawdopodobieństwa”.

Frisch znany jest głównie jednak jako autor Wielu świetnych dramatów i należy żałować, że żadnym z nich nie zainteresował się, jak dotąd, teatr polski.

III.

reszcie — Niemcy, ów kraj filozofów, systematyków i pedantów, kraj, gdzie stworzono teorie i gdzie od wieków starano się wszystko uporządkować, poszufladkować, wtłoczyć w ramy i zasady. Nie ma dziś w tym kraju wybitnych dramaturgów. Po śmierci Bertolda Brechta, który żył i działał w NRD, Niemcy nie mogą poszczycić się żadnym głośniejszym utworem dramatycznym. Nie ma wielkiego poety, a ostatni z poetów zających sławę i uznanie nie tylko w samych Niemczech, ale również i we Francji, to zmarły w lipcu 1956 r. Gottfried Benn, autor pięknych wierszy i ogłoszonego po jego śmierci zbioru listów, w którym

Rozmaitości staropolskie albo SUKNIA Z OBREZAMI

Monia z rzedem temu, kto potrafi odpowiedzieć, jaki cel przyświecał dzisiejszym dyktatorom mody kobiecej, lansującym ostatnio mało gustowne suknie-wory. Nota bene, niejedna z najszybszych eleganek wygląda w takiej „kreacji”, jakby była w błogostawionym stanie, mniej więcej w ósmym miesiącu ciąży.

Zdarzało się jednak w historii mody, że cele przyświecające twórcom w tej dziedzinie działalności ludzkiej były widoczne jak na dłoni. Na przykład, na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, we Francji napoleońskiej — dwór cesarza i ówczesne sfery rządzące nie bez powodu sięgnęły do wzorów antycznych. Szło o to, aby suknie kobiet wyrażały w rysunku i w kształcie powagę i wyniosłość godną Cesarza, a raczej — Cezara, jakim chciał być Napoleon Bonaparte. Dlatego zastosoowano do sukien król tuniki.

Była to moda tak zwana Empire, w okresie Konsulatu i Cesarstwa w latach 1800 — 1817.

Lekkie powiewne suknie miały bardzo krótki stan, a sięgały do kostek. Dla doda-

nia sobie dystynkcji, powagi i „dwoorności” ówczesne elegantki zakładały diadem na wysoko zaczesanych lokach.

Interesujące przemiany dokonywały się w królestwie mody na przełomie szesnastego i siedemnastego stulecia w Europie i w Polsce. Były to smutnej pamięci czasy Kontrreformacji, fanatyzmu religijnego, silnego nacisku (jakbyśmy dziś powiedzieli) Akcji Katolickiej, kierowanej przez ojców Jezuitów („Jebuzelitów”, jak ich nazywał ich wrogowie) na zdobycze Reformacji i Odrodzenia.

Podjudzane przez kler, sfanatyzowane tłumy niszczyły zbory protestanckie, kalwińskie i ariańskie, profanowały cmentarze różnowierców.

Arcykatolicki król Zygmunt III Waza, ulegając wpływom ojców Jezuitów, patrzył przez palce na haniebne „tumulty”, jak nówczas nazywano ataki rozwydrzonej ciżby na świątynie, domy modlitw i miejsca wiecznego spoczynku osób wyznań niekatolickich.

Różnice między dwiema przeciwstawnymi epokami, Renesansu i Kontrreformacji, znalazły wyraz w dekoracji pałaców i dworów, w umeblowaniu i w modzie meskiej i kobiecej.

Wnętrza zamku na Wawelu za czasów królów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta były pełne różnorodnych malowideł i wzorów, od bogato zdobionych stropów przez polichromowane gzymsy i freski, aż po wielobarwne, niebieskie, żółte, zielone kafele majolikowe w plecach ze złożonymi kulami dekoracyjnymi.

Ascetyczny Zygmunt III Waza położył temu wszystkiemu koniec. Na zamku zapanała czerń i złoto, biało-czarne kwadraty marmurowych posadzek, złoście jedwabie na ścianach, i tak zwani „patres aulici” czyli ojcowie dworscy, to znaczy „Jebuzelci” w ponurych, czarnych sutannach.



W modzie kobiecej i meskiej również nastąpiły duże zmiany. Zamiast dawnego kaftana, zszytego z barwnych, różnokolorowych pasów, zamiast kolorowych pończoch, jednej — w pasy, drugiej — gładkiej, weszły w modę surowe hiszpańskie wamsy i płaszczki z czarnego jedwabiu i atlasu.

Białogłowy również zaczęły naśladować w ubiorach surową modę hiszpańską — musiały wkładać ciężkie, surowe, podwójne suknie upięte na wkładkach — obrezcach, co nadawało najbardziej nawet smukłej figurze kształty sztywno kłozowa. W stanikach, zwanych „corps-pique”, obcisłających talie, były wszywane elastyczne pręty (prawdopodobnie z fiszbinów), w rękawach zaś umieszczano grube, sztywne wałki epoletów, co usztywniało i podnosiło ramiona.

Tego rodzaju król sukni dworskiej otrzymał we Francji nazwę „vertugadin”, co można by przetłumaczyć na język polski jako „strażnik cnoty”. I chyba słusznie! W innej odmianie, bardzo obcisły stanik miał szeroko rozłożone na kłozu sukni baszki. Na czarnym lub ciemnozielonym brokacie szeleściły bogate aplikacje z pasów koronkowych, haftu, złotych niel itp.

Ile jednak te obrezce, pręty i wałki musiały w sumie ważyć! Materiał, z którego były uszyte suknie i staniki — a mianowicie: złotogłów, adamaszek, brokat — również ważył nie mało.

Biedne ofiary mody siedemnastowiecznej pocily się jak w łaźni pod ciężarem tego rodzaju „dodatków” krawieckich.

Takie, przykładowo, koleje przechodziła moda od „strażników cnoty” czyli sukni z obrezcami przez antyczne tuniki (w wielkim skrócie, oczywiście) z czasów Napoleona aż po naszą współczesne suknie-worki.

W następnym felietonie przypomnę innego rodzaju szeregów staropolskie. Tym zaś, którzy chcieliby bardziej szczegółowo poznać historię kostiumologii, polecam interesującą pracę niedawno zmarłego świętego łódzkiego artysty-grafika Ludwika Tyrowicza „Podstawowe prace z dziejów ubioru”, bogato ilustrowaną rycinami.

Można się z niej dowiedzieć nie tylko, jak ubierali się nasi przodkowie w siedemnastego wieku, lecz cofnąć się aż do czasów pierwszej dynastii faraonów około 2650 lat przed naszą erą i prześledzić zmieniające się gusta i upodobania mody aż do czasów naszych babek, czyli do drugiej połowy dziewiętnastego wieku. W dziele końcowym książka uwzględniła regionalne ubiory w krajach demokracji ludowej i w Związku Radzieckim.



PRZESZLI PRZEZ ŁÓDŹ

jeżdża do Łodzi ponownie i skarży się na nużące „wielkie przyjęcia”.

Trzeci raz wielki pisarz zawiądzi o Łodzi w związku z akcją odczytową na powodzia. Grupa „prelegentów”, jakbyśmy dziś powiedzieli, a w tej liczbie właśnie Sienkiewicz, specjalnym wagonem kolejowym od grudnia 1903 do stycznia 1904 roku objeżdża szereg miast. Jest też w Łodzi. Sienkiewicz odczytuje „Dwie łaki”.

Rok 1904 przynosi ciekawą publicystykę Stefana Gor-

skiego „Łódź współczesna”. Obrazki i szkice publicystyczne podejmowały takie zagadnienia, jak miasto, społeczeństwo, życie towarzyskie, oświata i szkolnictwo, nauka, literatura i sztuka, rodzina(?) miast. Wnioski gorzkie. Gorski nie szczędzi rozzłoszceniom miastu słów krytyki (środowisko zmerkantylizowane, obojętne dla sztuki). Z czasem Gorski zniechęcony do reszty trudnym życiem w naszym mieście przeniósł się do Warszawy.

Łódź miała także swój „młodopolski okres”. Reprezentował go Antoni Szandlerowski, ponoć płomienny kłobocznik i niesłychany kobieciarz. W jego wierszach i dramatach rol się od ekstazy miłosnych i hołdów na rzecz niejakiej Bożenki, która miała być ponoć boginiom równa. We wczesnych latach szkolnych doświadczył wszystkim upajaniem.

Revolucja 1905—1908 roku dała dwa tegie utwory: scenę w łódzkiej hali fabrycznej w „Róży” Żeromskiego i „Dzieje jednego pocisku” Andrzeja Struga. Nie zbadano kontaktów obydwu pisarzy z Łodzi. Musieli tu przyjeżdżać. Strug na pewno.

Autor późniejszej „Odnaki za wierna służbę” wpadnie jeszcze raz do Łodzi w sierpniu 1914 roku z innymi pisarzami legionistami, jak Gustaw Daniłowski, Zygmunt Kisielewski, Jerzy Żulawski.

Środowisko rodzinne Struga przyjęło pisarza w uniformie legionisty bardzo niezbyt. O tym pisze Strug z gorczycą w „Liście z Łodzi”.

Ale już sięga po laury nowe pokolenie.

Jak wiadomo, w r. 1911 debiutuje w „Głosie Polskim”

Julian Tuwim. (Z „Głosem Polskim” współpracował Leo Belmont, który musiał Łódź znać, bo przedstawił ją w powieści „Dwużeniec”). W r. 1890 przychodził na świat (właśnie w Łodzi) Jan Nepomucen Miller. Szkole kończy w Łodzi, uniwersytet w Krakowie, a nauczycielstwem zajmuje się w Warszawie. Ale w latach 1914 i 1918 wyjeżdża w rodzinny miasteczko „Erynie” i wiersze „Lacrimae rerum”.

Okres okupacji, życie w środowisku robotniczym na Szelegyngu z czasem (1932) zostana odtworzone w powieści Jerzego Zawleyskiego „Gdzie jesteś, przyjacielu?”

W czasie okupacji kontakty z Łodzią (nie zbadane) posiada sławny poeta Bolesław Leśmian, współpracownik literacki Teatru Polskiego.

Przy okazji warto zauważyć, że do teatru łódzkiego przywędrowało paru literatów jak Kazimierz Wroczyński (był dwukrotnie dyrektorem w latach 1923—1925 i 1933—1939), jak Bolesław Gorczyński (dyrektor w latach 1927—29) i Józef Wittlin. Gorczyński chodził w Łodzi do szkoły.

Wittlina pamiętam dobrze. W latach 1921 — 1923 był kierownikiem Teatru Mle-

skiego i nauczycielem w jednej z łódzkich szkół. W r. 1920 wydał był głośne „Hymny” i zajął sławę uznano „skamandryty”. My, sztubacy, pozwalaliśmy sobie na różne z tej racji drwinki (nieodczowna druga strona medalu sławy) i na pytanie „Co chcesz?” odpowiedziałśmy zazwyczaj „chcę ci dać łyżkę ciepłej zupy”.

Z Wittlinem wchodzimy w nowe dzieje Łodzi.

W r. 1920 Lucjan Rudnicki wydał powieść „Odrodzenie”, a w rok później młody poeta łódzianin Mieczysław Braun rozleciał na ulicach Łodzi swój wiersz afisz pt. „Aniołowie robotnicy”.

„Aniołowie” robotnicy strajkują w 1923 roku. Miasto żyje treścią klasowej walki.

W r. 1925 Witold Wandurki zakłada pierwszy teatr proletariacki, nazwany „scena robotnicza”, a w rok później wydaje wiersze „Sadze i złoto” z litografiami Karola Millera.

Niebawem skry na łódzkim niebie krzesze „Meteor”, pierwsza grupa poetycka w dziejach naszego miasta.





# aspazja

ILUSTR. JBIŚ-GRATKOWSKI

- 16 -



Streszczenie:

Na przestrzeni 300 lat osiemnaście raket międzyplanetarnych próbowało zbadać planetę Mars. Wszystkie te rakiety zginęły w bardzo tajemniczych okolicznościach. Czy prawdopodobne jest, że — jak stwierdza depesza od uczestnika ostatniej wyprawy — na Marsie żyje jakaś straszliwa, demoniczna kobieta, niszcząca przybyszów z Ziemi? Na Marsa wyrusza z Ziemi dziesięć rakieta. Czy tajemnica Marsa zostanie wreszcie wyjaśniona?

U profesora Cronenstraema wielki ruch. Każdy chce popatrzeć przez jego teleskop i mniejsze lunety. Mars już przesłania 1/4 nieba. Kanał i te różne „góry” i „doliny” już widać gołym okiem. Przez lunety można dojrzeć jakieś budowle. Są to jakby niskie czerwone ściany i od czasu do czasu coś w rodzaju wysokiego kopca. Tak wyglądałyby może bardzo powiększone galazda termiłów lub domki bobrów. Może to jest coś w rodzaju „chińskiego muru”, który gdzieś zachował się do naszych czasów w Chinach. Według naszych pomiarów spektroskopowych zawartość wody w atmosferze Marsa nie przekracza 0,001 tej ilości jaka występuje na Ziemi w ziemie nad górami o wysokości 2.000 metrów. Klimat ten można porównać z wymagowanym klimatem jakiegoś płaskowzgórza na Ziemi o wysokości 18—20 kilometrów, pod warunkiem, że temperatura będzie wynosić minus 30—40° C i bardzo znacznie zostanie zmniejszona zawartość pary wodnej oraz całkowicie usunięty tlen. Będzie to więc zupełnie nieprzydatna do życia, polarna, sucha wysokogórska pustynia z minimalnym ciśnieniem atmosferycznym oraz brakiem tlenu. Jak z tego widać, Mars nie może się nadawać dla wyższych form życia.

25 czerwiec. No, wreszcie, można rzec, dojechalismy już do pierwszej stacji. Wylądowaliśmy bardzo sprawnie i spokojnie na Deimosie — Księżycu Mar-

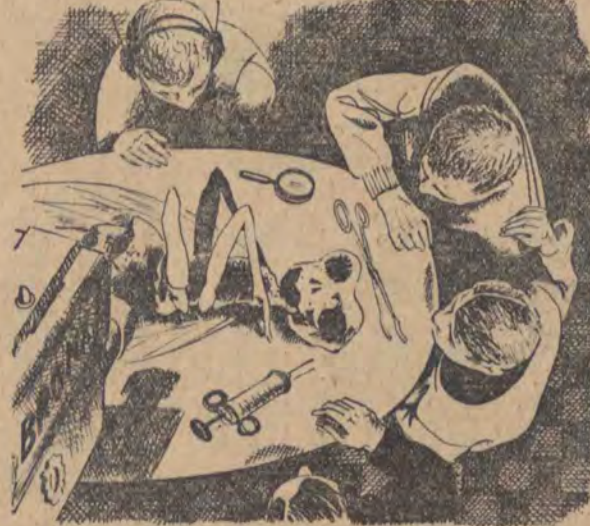
- 17 -



sa. Przedtem na kosmonetce Aga I wylecieli na zwiady kapitan Sambaba — piękny Hindus, z inżynierem Kierstem — wielkim, wesołym Holendrem. Kilkakrotnie oblecieli tego małego, zewnętrznego satelitę Marsa. Liczy on sobie trochę ponad 10 km średnicy, a więc tyle, co przeciętny, nie bardzo szanujący się — planetoid. Na kosmonetce mieli wszelkie możliwe aparaty pomiarowe, przede wszystkim niezwykle czułe termometry. Każda istota żywa, wszelkie ciała promieniotwórcze i w ogóle wybuchowe, gazy, metale itp. zostałyby wykryte w jednej chwili. Ale była to poszarpana i poorana przez archaiczny wybuch wulkanu, bryła lawy, posiadająca, o dziwo, dość dużą zawartość złota w swoim składzie. Mała, pusta, śmiertelnie wyziebiona, martwa odrobina materii. Ważymy na niej tak mało, że przy każdym mocniejszym odbiciu możemy się od niej oderwać i zacząć krążyć wokół Marsa, jako jego satelici. Aby taki wypadek nie zdarzył się, do obuwia przy wychodzeniu doczepiamy sobie ciężkie kawały ołowiu. Lądowanie odbyło się po odsłonecznionej, zupełnie ciemnej stronie satelity. Wobec braku atmosfery panują po tej stronie absolutne ciemności. „Gloria” również jest zaciemniona od zewnątrz. Ukryta jest wśród ostrych zwalisk skalnych. Mamy stąd świetne pole obserwacji. Sami jesteśmy niewidzialni, natomiast doskonale widzimy wszystkie oświetlone strony Marsa. Wychodzimy po dwóch w naszych stalorowych skałodrach kosmicznych i penetrujemy oraz filmujemy wszystko, co jest pod ręką. Profesor Jejack przeprowadził analizę geologiczną tych skal. Okazuje się, że zawiera ona dużo bazytu, dość dużo złota i nieco żelaza. Pejzaż jest fantastyczny. Przypomina jakiś film niesamowity. Słońce wschodzi szybko, bez brzasku.

„Halo... halo! Ziemia! Tu Mars! Tu Mars! Księżyc Deimos! Sprawdzawca tele i radio Bylina. Tu Lech Bylina! Dzisiaj u nas niesłychana sensacja! Rąbek tajemnicy uchylony!

- 18 -



Wysłaliśmy na zwiady naszą małą kosmonetkę M. S. Agę II z obsadą kapitan Sambaba i major Safranow. Jak wiadomo te raketowe samolociki mogą latać z bardzo małą lub bardzo wielką szybkością, mogą zawisać w miejscu i lądować w każdym punkcie. Otóż Aga II, oblatywała Deimosa ze wszystkich stron i interesowała się każdym szczegółem. To posuwała się powoli naprzód, to wisiała na jednym miejscu, to ostrożnie lądowała i piloci wychodzili na zewnątrz.

W pewnej chwili, pod załomem skał, spostrzegli charakterystyczną kopułę przykrywającą kopiec. Naokoło był mur z niedużych kamieni podobnych do cegieł, połączonych jakąś brązową substancją podobną do naszego cementu. Piloci, zachowując wszelkie ostrożności, kopiec rozkopali, przecięli elektrycznością grubą warstwę bardzo twardej masy, jakby prasowanego wosku. W środku znaleźli coś w rodzaju dużego kokonu splecionego kunsztownie z jedwabistych złotych nici. Na siły pilotów kokon ten był zupełnie lekki, ale w przeliczeniu na wagę ziemską, okazało się, że ważył 50 kg. Piloci kokon ten oraz próbki cegieł i obydwu substancji: brązowej i podobnej do wosku przywieźli natychmiast na „Glorię”. Rozumiecie sami jaka to była sensacja.

Zebrałmśmy się wszyscy w ambulatorium doktora Freyda. Doktor ulokował kokon na stole operacyjnym i przy zastosowaniu bardzo precyzyjnych narzędzi elektrycznych i ultradźwiękowych — kokon rozciął. Wyobraźcie sobie w środku znajdował się duży, ważący ponad 30 kg, zmumifikowany owad. Jest to według wszelkiego prawdopodobieństwa pszczoła z gatunku podobnego do Chalcedonia muraria, jakkolwiek może to być również Apis mellificia, lub Osmia cornuta, lub Anthofore personata, lub jeszcze jakaś inna. Może zresztą ma kilka cech zewnętrznych pszczełich pomieszanych ze sobą. Nie znamy się na tym, ale pszczołę pokażemy Wam w specjalnej audycji o 22. Prosimy ją określić według wyglądu”.

(d. c. n.)

## PAN BARON I ROBOTNICY

(Dokończenie ze str. 4)

lu ich puste żołądki? Czy są wywołane dlatego, że w obronie własnej, wędrowni instynktem samozachowawczym, targnęli się na „święte prawo własności” i okupują fabrykę, która jest własnością głośniego z wyzysku belgijskiego barona, wstawionego tym, że po raz pierwszy w dziejach walk robotniczych zastosowano przed laty strajk okupacyjny w jego zakładach piorkowskich?” („Łódzianin” nr 74, z dn. 15. III. 38).

Pan baron Hoebler, właściciel także i huty „Hortensja” w Piotrkowie, polecił wyłączyć parę w fabryce, sądził, że przejmujące zimno wypędzi robotników z fabryki. Pomylił się, strajkujący, wgrzebanii w brudną, cuchnącą bawełnę, walczyli nadal. Ten stan trwał jeszcze dwa tygodnie. Po interwencji Sekretariatu Generalnego Klasowego Związku Włóknarzy w Min. Pracy i Opieki Społecznej, pan baron przyjechał na konferencję do Warszawy, gdzie oświadczył, że zatrudni tylko jedną zmianę, a przywódców akcji strajkowej wyrzuci na bruk.

Dopiero 4 kwietnia zdecydował się Hoebler na rozmowy z robotnikami. Liczył na zwycięstwo, pod-

trzymywał twardo swoje zdanie, ale napotkał się do zdecydowanej postawy strajkujących. Kilku set ludzi, zamkniętych w zimnych murach fabryki, rozgrzało serca łódzkich robotników. Ze wszystkich niemal fabryk i warsztatów, napływały teraz zasiłki dla strajkujących. Już w marcu w szeregu zakładów uchwalono rezolucje, popierające żądania „hoeblerowców”, organizowano moralną i materialną pomoc. Pan baron stanął oko w oko z łódzką klasą robotniczą.

Fabrykant używał w walce wszelkich metod do poturpiania, kłamstwa i prowokacji włącznie. Organizował, przy pomocy prasy endeckiej ataki na Klasowy Związek Włóknarzy, który podjął akcję pomocy dla strajkujących. Za usznicę belgijskiego barona rozpuszczali wiadomości, jakoby Związek potracił sobie 10 proc. z wpłacanych sum na rzecz „hoeblerowców” itp.

Tymczasem solidarność robotników łódzkich osiągnęła rozmiary, budzące najwyższy podziw. W tygodniu przedświątecznym zebrano 9 tysięcy złotych. Każdemu ze strajkujących mógł wypłacić Komitet po 20 złotych. Przeliczoną kwotą napływali, nieustannie do fabryki robotnicy z paczkami żywnościowymi. Poszczególne dzielnice PBS, rozmaite organizacje nadsyłały kosze z żywnością. Z fabryk Buhlego, Kindermanna, Bornsztajna, Szmulewicza, Władzkiej Manufaktury, Bukietki, Tietzena, Steigerta, Weinberga i

innych szła nieustanna pomoc. Okoliczni sprzedawcy gazet, kioskarze ubierali skrzynki papierosów, tytoniu i gils. Zdarzały się przejawy solidarności tak wzruszające, że ludzie, obserwujący walkę kobiet z baronem, płakali.

Oto jeden ze strajkujących został powołany do wojska. Po krótkim czasie, nie mając nic innego, przesyła z pułku „zaoszczędzone” trzy bochenki chleba i paczkę sucharów. Oto zgłasza się do Komitetu Strajkowego bezrobotny, który przynosi bochenek chleba. Oto chłopcy z podłódzkiej Retkini przywożą placki, chleb, kłębasę i jajka. Na pisankach czytali strajkujący słowa otuchy, solidarności świata pracy.

6 kwietnia odbyło się zebranie delegatów fabrycznych włóknarzy. Omawiano sprawę strajku Hoeblera i uroczystości 1 Maja. Z przemówień delegatów strajkujących Łódź dowiedziało się, że w ciągu 9 tygodni strajku, pomoc otrzymana przez walczących robotników wyniosła prawie 28.000 złotych. Załoga gotowa jest walczyć nadal, w dalszym ciągu okupować będzie fabrykę, jedynie tylko delegacja weźmie udział w pochodzie z okazji robotniczego święta.

Po piętnastu tygodniach straszliwej, wyczerpującej fizycznie i moralnie walki ukazała się w dniu 1 Maja delegacja strajkujących na ulicach naszego miasta. Wrażenie było wstrząsające. Jeżeli nie brać pod uwagę endec-

kiego zwłazku „Prasy Polskiej”, wszystkie inne w mniejszym lub większym stopniu zwary front. Ukazały się liczne odezwy, wzywające do poparcia walczących. Łódzki Okręgowy Komitet Robotniczy pisał:

„Żdamy wystąpienia z Polski barona Hoeblera, obywatela belgijskiego, jako uciążliwego cudzoziemca! Żdamy upaństwowienia jego fabryki!”

Dnia 4 maja 1938 r. delegaci Klasowego Związku Włóknarzy postanowili poprzeć żądania „hoeblerowców” powszechnym strajkiem. Oburzenie mas robotniczych wspierających 15-tygodniową walkę z baronem, sięgnęło szczytu. Pan baron ustąpił. Zgodził się zatrudnić całą załogę, przyjął warunki pracy przyjęte ustawowo dla przemysłu włókienniczego, zobowiązał się nie prześladować nikogo za udział w strajku.

Warto jeszcze wyjaśnić istotne przyczyny, dla których baron Hoebler zdecydował się unieruchomić fabrykę na przeszło 3 miesiące. Sytuacja finansowa przedsiębiorstwa hoeblerowskiego wcale nie wymagała ani obniżki płac, ani wyrzucenia jednej zmiany na bruk. Przedziałnie bawełny, szczególnie duże, z reguły przynosiły zysk. Bawełnę bowiem można było sprzedać za gotówkę. Reglamentacja dewizowa, ograniczanie kontyngentu przywozu bawełny, wreszcie działalność kartelu, czyniły z bawełny surowiec pożądanym na rynku.

Powodem więc nieopisanego

ki strajkujących był interes pana barona, który postanowił wyzyskać dobrą cenę na bawełnie. W przeciągu 15 tygodni strajku zdołał pan baron zgromadzić około 50 wagonów bawełny, wartości blisko miliona złotych. Nie było w Łodzi takiego przedsiębiorstwa, które by mogło sobie pozwolić na uwięzienie w bawełnie tak wielkiej sumy. Dlatego też przedstawiciele Hoeblera ubili w Ministerstwie Przemysłu i Handlu niebywały interes. Przedstawili sytuację tak, jakby baronowi groziła ruina, śmierć głodowa. Delegat Ministerstwa pozwolił na sprzedaż bawełny. Z tą chwilą strajk przynosił baronowi wcale nie tyle zyski. Każdy wagon bawełny sprzedawał po cenie o 7—8 tys. złotych wyższej od normalnej, co w skali miesiąca przyniosło kapitalistę 100.000 złotych, a przez cały kwartał — 300.000 złotych.

W ten właśnie sposób sanacyjny rząd pomógł baronowi przewlekać rozmowy z robotnikami i na ich ofiarną walkę zrobić grube pieniądze. Interesy barona Hoeblera dostały się do wiadomości publicznej dopiero w kilka tygodni po ukończeniu strajku. Rząd sanacyjny nie dopuścił także, aby chociaż jeden głos odezwał się na forum sejmowym w obronie strajkujących. Cudzoziemskiemu wyzyskiwaczowi okazano wiele względów. Stąd też zapewne wzięło się znane powiedzenie przedstawicielki obcego kapitału w Polsce: Wasze ulice — nasze fabryki i kamienie!

JADWIGA JAŻDŻYŃSKA

odgłosy

str. 8



**D**awniej, przed wojną, nie tak jak dziś — gdzie w Łodzi człowiek nie poszedł, wszędzie na plot czy na inne ogrodzenie się nadział. Z zieleni korzystały same fabrykanckie rodziny. Były to ogrody jak więzienia strzeżone. Dla zwykłych obywateli udostępniano wówczas niewiele tej przyrody, a między innymi parki Helenów i Kweli czyli Zródliska.

W święta urządzano czasem w tych ogrodach zabawy ludowe z loterią i tańcami. No i naturalnie ludziska dusili się z braku przestrzeni. Z początku się witają i każdy, jeden drugiemu szczęcia, zdrowia i słodyczy z całego serca życzy, a potem — nie trudno i oberwać. Taki natłok cholerny, ścisł i same narzekania!

Szczególnie nasi balucy byli w tych wypadkach gorący: byle co, zaraz do kieszeń sięgają po scyzoryki i z „kibelbasiarzami” z Pfaffenordfu Grunwald robią. Nazywali tamtych też jeszcze „Niemczykami”, choć to nie byli żadni Niemcy, tylko mieszkający dzielnicy Scheiblerowskiej.

Wtedy to, jak się nieraz robi okrutna wojna, sięga poniekąd nie tylko po nóż, lecz i po kamienie lub żelazne sztaby. A jak taka bójka się zaczyna, to trwa z parę godzin, dopóki straż ogniowa nie przytoczy beczek z wodą i nie zacznie z oberszlachów polewać pobojowiska. Oczywiście potem karetka pogotowia ludzi pokaleczonych — pomarnowanych odwoziła do szpitala, a kto lekko dostał, ten sam jakos się dowiół do domu.

Podobno stary Scheibler i młodzi Poznańscy kazali urządzać siebie o takich spotkaniach towa-

i strajki. Ksiądz proboszcz, ten mówi, że to dlatego, że robotnikowi zachlewa się różnych frykasów, a gdyby żony robotników pitaśły tylko niekwaszone ziemniaki i zupki z pokrzywy, to wtedy wśród ich mężów zapanowałaby bogobojność i pokora. Wiadomo, gdzieby robotnik miał wtedy siłę i tam wolne myśli!

Aptekarz natomiast był liberalistą i miał takie zdanie, że robotniczego ludu zbyt dużo się rozpleniło i że należy go statystycznie i procentowo przetrzebić. On też podobno użył fabrykantowi — ja tam nie wiem, ale tak mówili — trucizny, a Scheibler zwołał swego zaufanego karzejdinera i rozkazał mu, aby przede wszystkim zglądził ze świata utrapionego Kryga.

No, wiadomo, karzejdiner był zaufany fabrykanta i we wszystkim chciał mu — za zapłatę — dogodzić. Ze trzy dni na Ogrodowej pod portiernią dybał na Kryga, aż wreszcie widzi: wychodzi. Podbiega do niego i bierze go oczywiście na kawał:

— Witajże, bracie — tak mówi. — Chodźmy oblać wasz ostatni Grunwald.

— A tyś co za jeden? — pyta zdziwiony Kryga. — Nie znam ciebie jeszcze.

— Ja — odpowiada tamten — nie ukrywam, jestem wierny sługa Scheiblerowski, ale bardzo ogromnie lubię patrzeć, jak się ludzie biją i całym sercem przechylam się na waszą stronę, ponieważ zawsze ostatecznie triumfujecie. Zapraszam cię więc na jednostronny poczęstunek, to znaczy, że ja funduję, a ty tylko pijesz i we wszystkim sobie dogadzasz.

No, nie tak sobie po prostu założył, bo nie obeszło się bez specjalnych powodów. Miał on — ludzie gadali — przyłepkę jedną, aktoreczkę i musiał jej rolę dostarczać. Ponieważ nie zawsze to mu się udawało w innych teatrach, wolał mieć własny.

Wystawiali tam przeważnie różne farsowe komedie, na które z całego miasta zjeżdżało w karetach dużo państwa i dostojników do cholery i trochę. Ale ta aktoreczka miała taką ambicję, że jej tego było mało. „Ja — mówi — gardzę takim bałaganem i chcę prawdziwe tragedie odstawiać. Chcę choć raz Antygonę zagrać”.

A do tej tragedii, to jest do „Antygony” potrzebny był ślepy starzec. I właśnie ten tragiczny staruszek, zamiast poruszyć widzów kłwym okrutnym losem, tylko na fest wszystko położył.

Bo po pierwsze, nikt a nikt z urzędasów i kupców czy tam fabrykantów na to przedstawienie nie przyszedł ani nie przyjechał i wtedy Kazio Poznański surowo przykazał swym majstrom, żeby spędzili do teatru robotników. Robotnicy, naturalnie, pod strachem wyrzucenia na zieloną trawkę, przyszli z żonami i z młodszym potomstwem, aby wypełnić sale, a jak zobaczyli na scenie tego niby to staruszka, zaczęli się od razu ze śmiechu pokładać. Bo dobrze znali aktora, który udawał w teatrze ślepotę, a w życiu to był taki pijok: tylko się kolował po knajpach i spity sypiał byle gdzie, najczęściej w rowie pod płotem.

I wynikała z tego namacalnie grubsza awantura. Obrażona aktorka zamknęła się w swej garderobie i płacze jak dziecko, a na Kazia się rzuca z pazurami i krzyczy:

— Wynos się, bo więcej nie chcę na ciebie nawet patrzeć. Zaraz pakuję moje kufry i wyjeżdżam, a ciebie mam w nosie, z twoją niewychowaną publicznością.

Kazio tylko ręce rozkłada i pyta ją z głupią frańką, co ma robić. Ta zaś odpowiada:

— Powieś się! — i tyle całej rozmowy.

No, to Kazimierz zebrał majstrów i na nich! A tamci z kolei — na robotników, żeby nie ośmielili się po raz drugi z teatru śmichliwy robić, bo to nie żarty! Ale wiedzą, że z robotnikami to tak: nie wolno zbyt przyciągać struny. I wtedy jeden z majstrów wpadł na pomysł. Wraca do Kazimierza i powiada:

— Mam, panie prezesie, jeden pomysł. Ludzie dlatego się śmieli, że, powiadają, wiedzieli, że faceci udają. Ale żeby im zademonstrować prawdziwego ślepcę, to inaczej by zareagowali.

Kazimierz spojrzął na niego i ożywił się trochę.

— No tak, może i racja. Tylko skądże ja prawdziwego ślepcę im wytrzasnę spod ziemi?

— Nie trzeba wcale wytrzasnąć ani daleko szukać — odpowiada majster — ponieważ myślałem o Krydze.

Żeby tylko zechciał...

— Niech tylko nie zechce! — mówi Kazimierz i jak nie wałnie pięścią w biurko. Kazał też zaraz — natychmiast przyprowadzić Krygę wprost do swego kantorowego gabinetu.

To naturalnie przyprowadzili zaraz niewidomego, postawili go twarzą do fabrykanta i każą się nisko ukłonić.

— Siadaj — wita go Kazimierz. A Kryga:

— Dziękuję, postoiemy.

— No to słuchaj, chanie jeden, i miarkuj dobrze, co ci powiem, bo daję ci wojenne ultimatum: al-

# LEON GOMOLICKI

# KRYGA

## opowiadanie

bo zrobisz wszystko co ci każę, albo w wamrze zgnijesz.

— A coż ja mam takiego zrobić, jeśli łaska? — zapytuje grzecznie Kryga.

— A to, że będziesz grać na moim teatrze, jeszcze zapłatę za to dostaniesz. A zagrasz starożytnego Greka, który sam siebie pozbawił wzroku.

Kryga aż się wzdrygnął.

— Ja — odpowiada wciąż grzecznie, ale z godnością — nigdy jeszcze w moim życiu greka nie udawałem. Wolę więzienie i tyle.

I tak się postawił, że trudno i darmo! Kazimierz myśli sobie: „Cholerny dziad, dogadać się z nim nie sposób!” Nic mu nie mógł Niemniej zrobić i musowo ustąpił wtedy.

Wkrótce — tegoż samego wieczora — w mieszkaniu Kazimierza w pałacu zrobiło się piekło: dzieci, skatowane, bieżą po kątach, ślubna małżonka po gruntownej rozmowie z mężem też pakuje walizy, a sam pan prezes rozmyśla: który to sposób samozabójstwa jest najskuteczniejszy?

I właśnie w tej — że tak powiem — krytycznej chwili fagas puka do jego gabinetu pałacowego i melduje, że przyszedł Kryga i czeka na dole w przedsiönku.

Kazimierz zerwał się jak oparzony, stoczył się po prostu ze wszystkich schodów i widzi: rzeczywiście, stoi Kryga z białą łaską.

— Witaj — woła fabrykant. — Jestem tu, ja Kazimierz Poznański. Gadajże po coś przyszedł?

A tamten poważnie odpowiada:

— Namyśliłem się i po zastanowieniu propozycję przyjmuję. — Kto wie, może w rodzinnym gronie namówiono go na ten przygodny zarobek. Kazimierz uszom nie wierzył i dla pewności pyta jeszcze raz:

— Czyżbym dobrze zrozumiał, więc zgadzasz się zagrać na moim teatrze?

— Powiedziałem. Słowo się rzekło i kropka, jak urodziła. — Wtedy fabrykant o mało nie zaplakał z radości, nawet poklepał Krygę po plecach i przyznał mu:

— Honorowy z ciebie gość, widzę. Za to, żeś się zgodził, wyznaczę ci podwójne wynagrodzenie. A teraz kieruję cię do mego reżysera, żeby cię wypolerował i nauczył, co masz robić na scenie.

Słowem, ucieczył się na całego, tylko że przedwcześnie, bo nie przewidywał, co z tego wszystkiego miało wyniknąć.

A wynikało wcale nie przewidziana przez nikogo i jeszcze głośniejsza awantura... Ale sami posłuchajcie.

— Siadaj — wita go Kazimierz. A Kryga:

— Dziękuję, postoiemy.

— No to słuchaj, chanie jeden, i miarkuj dobrze, co ci powiem, bo daję ci wojenne ultimatum: al-

jego polerowania. A dla ułatwienia powyrzucił wszystkie dialogi nie dialogi, które ten starożytny ślepiec miał mówić.

— Pójdiesz — mówi tak do Krygi — dokąd cię pociągną za rękę, i to cała twoja mądrość, a dla świętego spokoju nie nie gadaj. Stul, rozumiesz, gębę i kwita.

Tak go pouczył, a Kryga nie na to — milczy i jakby przyjmuje do wiadomości. Wreszcie tego wieczora, kiedy miało się odbyć to tragiczne przedstawienie, przystrojono Krygę w długą, siwą brodę z bawełny, zawinięto w prześcieradło z sypialni strażackiej, uzbrojono w taką długą łaskę i sama Antygonna poprowadziła go za rękę na scenę.

Tymczasem robotnicy, którzy udawali widzów na sali, wywieździeli się już od dawna, co w trawie piszczy — że to sam wysiąpi przed nimi Kryga. I jak tylko ten niby starożytny niewidomy wysunął się z kulis, wszyscy jak jeden mąż zaczęli go witać zespolowo: tupają buciskami, klaszczą co sił w dłonie i do tego wykrzykują:

— Kryga! Witaj nam Kryga! A pamiętasz dawne boje z kibelbasiarzami?

Jasne, że Kryga się wzruszył, aż mu temu zabrakło z początku. Stał się ślepa i warzą do sali, a po chwili jak nie zaczęli śpiewać w odpowiedzią gromkim głosem bojowe pieśni robotnicze! Cała sala za nim — aż gmach teatru rusza się w posadach. Urządzili prawdziwą demonstrację.

Naturalnie nadbiegła policja, wdarta się do teatru, zaczęła ludzi łapać i parami w kajdanki zakuwać. Schwycili też Krygę.

Sam komisarz zrobił mu od razu z miejsca wstępne przesłuchanie. Zerwał bawełnianą brodę, opleprzył, że prosi, jak ostatniego złodziejzaka i zapytuje:

— Nie inaczej, tylko musiał cię ktoś tego nauczyć. Sam nie wymyśliłeś.

— To bezsprzeczna prawda, że nie wymyśliłem — na to mu prawdziwie Kryga.

Ale komisarz nie chciał słuchać jego prawdy. Wreszcie:

— No, ty! Uważaj no! Posiedźsz u nas o głodzie, o chłodzie i do pasa w wczucie, to przypomnisz, a jak przypomnisz sobie, to nam powiesz imię głównego podżegacza. A nie powiesz — zginiesz w okrutnym katowcach.

A że Krydze w rzeczywistości nie miało się co przypominać, więc zginął niesławnie. W każdym bądź razie żaden człowiek już więcej nie zobaczył go na wolności i nie dowiedział się o jego smutnym losie...

Na tym historia Krygi faktycznie się kończy, bo więcej nie mam o nim nic do opowiedzenia.



rzyskich i wieczorami w święta byli w pogotowiu, a ich fagasy miały swoje punkty obserwacyjne. Zaraz jak tylko w którym z ogrodów Grunwald wybuchnie, fagas Scheiblera to zaobserwuje i biegnie w jedną stronę, a fagas Moritza Poznańskiego w drugą, na Nowocieleńską.

A pan Moritz już czuwa w pałacu, zbiegnie tylko ze schodów na podwórce, gdzie jego rumak stoi gotowy pod siódmym. Przygala puje na miejsce, a tam już Scheibler, ze szkiełkiem w oku, w kolasię stoi i macha cylindrem nad głową — swych chłopaków zagrzewa do boju.

Rzadko kiedy jednak się zdarzyło, żeby ci „kibelbasiarze” scheiblerowski mieli przewagę, bo po naszej stronie walczył mechanik od Poznańskiego, nazwiskiem czy przewiskiem Kryga. Chłop taki — o! Ten miał po prostu wściekłość, mówię wam, siłę w rękach. A jeszcze jak złapał draga i stanął w szeregu — prosił tylko zawsze, aby mu lewą flankę osłonić — nikt naprzeciwko niemu nie mógł długo wytrzymać.

Uteż naturalnie wpadł ten Kryga w oko Scheiblera, jak ta zadra.

A lubił fabrykant wieczorami grywać w karty z panem dziedzicem spod Łodzi, z księdzem proboszczem i z aptekarzem. Węć różną tak pewnego razu w tego durnia, a Scheibler pyta się nagle swych partolierów, skąd ta „rozpuśta” wśród robotników, że stała strajkują i wymyślają różne socjalizmy.

Tu dziedzic oczywiście mówi, że wszystko bez te fabryki, bo gdyby fabryki znieść, to cała ludność robotnicza powróciłaby zaraz do stanu sielankowo-wiejskiego, a razem z tym skończyłyby się wszelki kram

I tak go niby ocyganił, a jak usiedli w szynku, karzejdiner kazał przynieść wino i kiedy sobie popili trochę, niepostrzeżenie wyspał trucizny do kielicha Krygi. Jeszcze, Judasz, ucałował ofiarę zbytniej ufności, trącili się kielichami i wychylił każdy swoje.

Po jakimś krótkim czasie Kryga mówi:

— Coś mi się strasznie oczy kleją, troszeczkę się zdrzemnę.

Położył łokcie na stole, oparł na nich głowę, ziewnął raz, drugi i zasnął na dobre.

Fagas widzi, że zrobił swoje, i zadowolony — pobiegł do fabrykanta, swego pana po zapłatę.

Myślał, że już po Krydze, a tymczasem — albo ta trucizna była zwietrzała, albo mechanik miał ogromnie mocną głowę, guzami w bojach nabita, dość, że nie stało się wcale po myśli jego wrogów: bo nie zginął, nie zglądziła go trucizna, a tylko obalila na jakiś tam czas i zmorzyła czarnym snem. A jak się z tego czarnego snu obudził, patrzy i nic dokola nie widzi — wzrok stracił!

I w końcu wyszło jednak tak, jak chciał stary Scheibler, ponieważ Kryga zaniewdziął i nie mógł już więcej robić Grunwaldu.

Fabrykant cieszy się i podśpiwuje, a dla robotnika nastąpiła czarna godzina. Stracił, naturalnie, zaraz pracę u Poznańskiego, pozostało mu chodzić po żebrakym chlebie, słowem — pogarda i nędza ci, człowieku!

Kryga jednak z poczucia własnej godności za nic by nie wyciągnął ręki po prośbie i wolał umrzeć głodową śmiercią.

I tak by się też stało, gdyby nie jedna okoliczność...

Trzeba wiedzieć, że młody Poznański, brat, znaczy się, Moritza, Kazimierz, założył własny teatr.





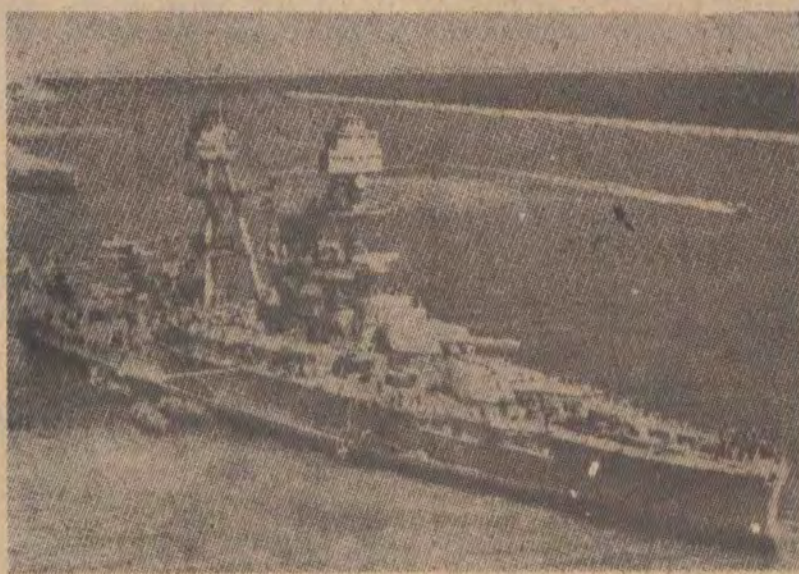
# FILIPINY W OGNIU

ADMIRAŁ YAMAMOTO MA GŁOS.—ŁADUJEMY 8 GRUDNIA.—  
TO NIE SĄ ĆWICZENIA.— NA ODSIECZ.— JAPI ATAKUJĄ!

Gdy eskadry admirała Nagumo wyruszyły już ku Hawajom, szef połączonych flot japońskich, admirał Yamamoto, wydał rozkaz pełnej gotowości bojowej III flocie wiceadmirała Takahashi. Flota ta, stacjonująca na Karolinach i Peskadorach składała się z 15 ciężkich i lekkich krawozworników, kilku lotniskowców, 40 niszczycieli (kontorpedowców) oraz szeregu lekkich jednostek bojowych, transportowców i statków desantowych. Wspierała ją miała samoloty 11 floty powietrznej — około 500 maszyn — stacjonujące w bazach na Formozie.

Walczył się o 120 mil od północnych brzegów Luzonu, głównej wyspy archipelagu filipińskiego. Kontradmirał Hara dowodził „Pierwszym Zespołem Uderzeniowym” III floty wiceadmirała Takahashi. Była noc z 7 na 8 grudnia. Kontradmirał stojąc na pancernym pomoście dowodzenia przenosił wzrok z morza na mapę, rozmyślając o czekającym go rano zdaniu. W księżycowej poświacie ostro rysowały się sylwetki okrętów jego zespołu. Środkiem, w szyku torowym, płynęły transportowce i wielkie statki desantowe. W swych przepaściach

Zresztą, nawet gdyby zdążyła się skoncentrować, nie była w stanie stawić czoła eskadrom admirała Takahashi. Stosunek sił przedstawiał się jak jeden do trzech! Gdy jednak wskazówki zegara osiągnęły godzinę drugą po północy, admirał zaniepokoił się. Z krawozwornika „Askigaria” już powinien nadejść rozkaz działania od admirała Takahashi... Hara był jednym z nielicznych wtajemniczonych w operację na Pearl Harbor. Czyżby flota admirała Nagumo...? Choć w kabinie było ciepło, kontr-



Pancernik „Oklahoma” zatopiony przez Japończyków

mać, gdy nagle, bez pukania, wpadł do pokoju dyżurny radiotelegrafista sierżant Leroy. Już pierwszy rzut oka na twarz sierżanta postawił Clementa na nogi. — Japi! — zdołał tylko wykrzyknąć Leroy podając pułkownikowi mały skrawek taśmy telegraficznej: „PEARL HARBOR ENEMY AIR RAID! NOT DRILL!!!” W ciągu sekundy odczytał krótki tekst kilkanaście razy: „Nalot nieprzyjacielski na Pearl Harbor! To nie są ćwiczenia!!!” A więc stało się! To, czego spodziewali się uniknąć, nadeszło! Wład!

Gdy minęło oszołomienie Clement połączył się z mieszkaniem admirała Harta, dowódcy Floty Azjatyckiej. W słuchawce usłyszał zasnany głos. — Admirale — powiedział Clement — niech pan przemyje twarz zimną wodą. Przychodzę z depeszą nadzwyczajnej wagi. Choć kilkusetmetrową przestrzeń przebył prawie biegiem, Hart otworzył mu drzwi już zupełnie ubrany. — Wojna? — Tak, admirale. — Twarz Harta zastygła w śmiertelnej powadze. Nikt lepiej od niego nie wiedział w jak krytycznej sytuacji się znajdowali. — Depesza! Depesza! Depesza! O której wypowiedzieli wojnę? — Nie, nie, admirale. Nie wypowiedzieli! Depesza z Pearl Harbor... Teraz dopiero Clement podał admirałowi wąski pasek depeszy. — Pearl Harbor... Zaatakowali zniemacka... Bez wypowiedzenia wojny! Psiakrew! Admirał czuł chłodny pot przeliskający się przez skórę. — Czy aby pewnie? Czy ta depesza jest sprawdzona? — Nie ma wątpliwości admirale. Radiotelegrafista Leroy poznał sposób nadawania swojego kolegi z Fort Island w Pearl Harbor... — Czy pan rozumie, pułkowniku, co to oznacza, jeżeli Japi zniszczy Flotę Pacyfiku? — Rozumiem...

— Poruczniku... — usłyszał za sobą przytłumiony szept. Z tyłu za nim stał Morris, radiotelegrafista. — Wojna... — powiedział tym samym cichym głosem to jedno tylko słowo. — Co?! Wojna! — z kim? — Japi... Manila nakazuje z pełną szybkością płynąć do Aparri i wspomóc tamtejszy garnizon na wypadek próby desantu. Z wygaszonymi światłami, pełną siłą motorów, dywizjon mknął ku swojemu przeznaczeniu...

Kapitan Avaceda, dowódca trzeciego baonu scoutów filipińskich w Aparri, zerwał się z głębokiego snu targany przez oficera służbowego.

— Kapitanie! Kapitanie!  
— Co jest, do jasnej cholery!  
— Dowódca baterii 155-milimetrowych dział melduje płomień, że za jego pozycjami zapalają się w dżungli jakiegoś światła,  
— W dżungli?  
— Tak!  
— Nie wysyłałem tam żadnego oddziału...

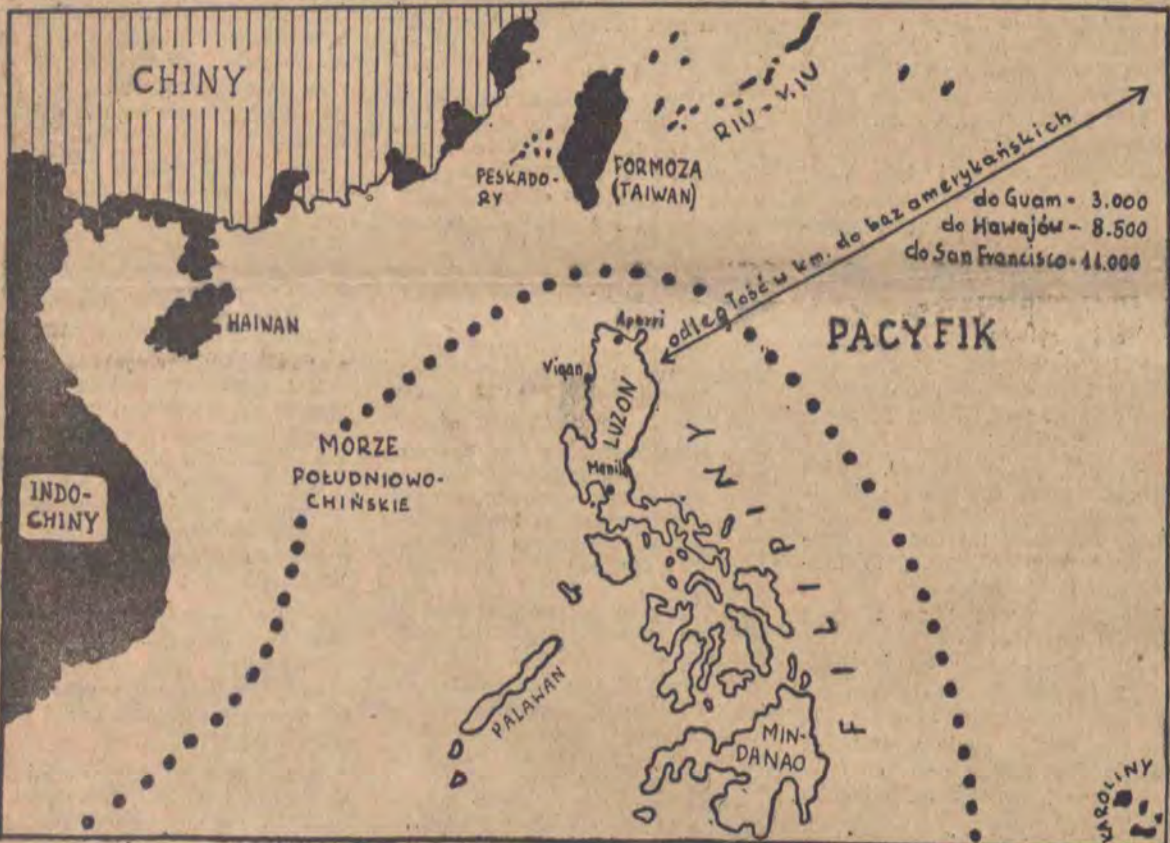
Nagle, jak błyskawica, przemknęła myśl: spieszdy Japowi! Władnie na tyłach jego jedynej siły obronnej — ciężkiej baterii 155-milimetrów! Ale dlaczego rozpalają ogniska?!

Kapitan zerwał się na równe nogi. Złe przecucia kłuty mózg. Gdy wybiegł z bungalowu na jaśniejący rzednącą nocą brzeg, północny horyzont błysnął nagle setką ognia. Nad głową Avacedy przelewał się świszczący jęk pędzących pocisków i targnął ziemię filipińską głuchym grzmiotem wybuchów.

— Santa Anna! Gdzież ta przeklęta flota, że Japi mogli spokojnie podpłynąć do brzegu! Te paniczki w białych mundurach siedzą teraz pewnie w manilskich knajpach...

(d. c. n.)

Do poprzedniego odcinka zakradły się dwie pomyłki. W pierwszej spalanie, ostatni ułamek od dołu należy skreślić: „wyspy Guam i Wake”. W odsyłaczu pod szpaltą piątą zamiast Konikaze winno być KAMIKAZE. Za błędy przepraszamy Czytelników.



Mapa 2. Sytuacja strategiczna Filipin w dniu 7 grudnia 1941 r. Zaczerniono obszary opanowane przez Japończyków w poprzednich kampaniach. Linia kropkowana oznacza strategiczną strefę japońskiej penetracji na Pacyfiku i Morzu Południowo-Chińskim

Rozkaz Yamamoto mówił: „Japonia zamierza wyrzucić Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone z obszaru Wielkiej Azji Wschodniej... Wielka i dalekosiężna fundamentalna zasada, cel istnienia naszego narodu — Hakko-Ishui — zostanie zademonstrowana przed światem”. W części szczegółowej rozkazywał podjęcie szybkiego ataku na Filipiny i opanowanie wysp w jak najkrótszym czasie, wg wariantu operacyjnego nr 1. Hasłem do otwarcia ognia i wysadzenia desantu miała być wiadomość o rozpoczęciu ataku lotniczego na Pearl Harbor. Aby pogłębić zaskoczenie na tamym odcinku, nie należało demaskować agresywnych zamiarów przed znieszczeniem głównych sił amerykańskiej Floty Pacyfiku.

Krawozwornik „Natori”, flagowy okręt kontradmirała Hary znajdował się o 120 mil od północnych brzegów Luzonu, głównej wyspy archipelagu filipińskiego.

brzuchach wiozły korpus plechoty, artylerię i czołgi. Z przodu i z boków ubezpieczały je eskadry niszczycieli. Na dalekich skrzydłach sunęły ścigacze-niszczyciele łodzi podwodnych. Wysunięte do przodu posuwały się tralowce bacząc na niebezpieczeństwo pół minowych. Przed świtem ten szyk miał się zmienić. Do przodu wyjdą niszczyciele, aby ogniem dział zniwiedzić amerykańskie ufortyfikowania na wybrzeżu Aparri. Następnie transportowce spuszczą opancerzone łodzie desantowe z piechotą. Potem statki desantowe otworzą swe splaszczone dzioby i wypłyną z wnętrza stalowy potok czołgów.

Kontradmirał Hara był pewien powodzenia operacji. Najaktualniejsze dane wywiadu określały siły nieprzyjacielskie na zaledwie jeden batalion „scoutów” filipińskich. Amerykańska Flota Azjatycka stacjonująca na Filipinach rozproszona była od Luzonu po Archipelag Sulu — na przestrzeni blisko 1,600 kilometrów.

admirał poczuł gwałtowne dreszcze.

Również bardzo niepokoił się wiceadmirał Takahashi, dowódca całej floty inwazyjnej. Nie im pierwszym jednak było dane otrzymać meldunek o ataku Japończyków na Pearl Harbor.

\*\*\*

Tej nocy, w Cavite koło Manili, głównej bazy amerykańskiej Floty Azjatyckiej, pełnił służbę podpułkownik William Clement. Około godziny 24 otrzymał ostatnie meldunki od dywizjonu ścigaczy, który po południu wyruszył z zatoki Manilskiej wzdłuż zachodnich brzegów Luzonu, do Aparri. Spokój. Było już dobrze po północy. Clement przeciągnął się leniwie i pomyślał o czekającej go przed południem partii golfa. Po nieprzespanej nocy! Już właśnie zamierzał ulokować się w dużym klubowym hotelu i trochę podrze-

1) Atak na Pearl Harbor dokonany został rankiem 7 grudnia czasu hawajskiego, tj. 8 grudnia czasu japońskiego.

2) „Scout” — oddziały regularnych filipińskich sił zbrojnych. Ubrani byli na ogół w bardzo przestarzały sprzęt, pochodzący z okresu pierwszej wojny światowej.

Głęboka, podzwrotnikowa noc. Wsparty o poręcz kapitańskiego mostku porucznik Gaston obserwował bezzwłocznie dwa pozostałe ścigacze swego dywizjonu. Wyparte motorami koryta wody kiełbiły się na nieskazitelnej tafli morza, jaśniejąc i mieniąc się w blasku księżyca. Byli chyba gdzieś na wysokości Vigan. Błękitne brzegi Luzonu odstraszały obcą, niegościnną dżunglą. Myśli Gastona bezwiednie pobiegły do dalekiego Baltimore. Ki! diabeł rzucił go w tę dżunglę! W tej dziurze Aparri będą chyba rano. Znow beznadziejna nuda!

3) Dopisek „Pierwszeństwo!” (ang. priority) oznaczał na depeszy wojskowej, że ma być otelegrafowana w pierwszej kolejności.

Za tydzień  
część III  
**POD  
APARRI**  
EPOPEA  
DYWIZJONU  
ŚCIGACZY



# LESLIE albo coś nie jest na swoim miejscu

Zart bez podpisu to niewątpliwie najtrudniejsza forma rysunku humorystycznego. Trzeba się obejść bez dialogu, który może dostarczyć tylu zabawnych spieć, a ograniczyć jedynie do sytuacji, dostatecznie nonsensownej, by pozbawiona jakiegokolwiek komentarza pojechała nasz zmysł humoru. Toteż tylko niewielu autorów uprawia systematycznie ten rodzaj dowcipu — a przeważnie są to rysownicy wybitni.

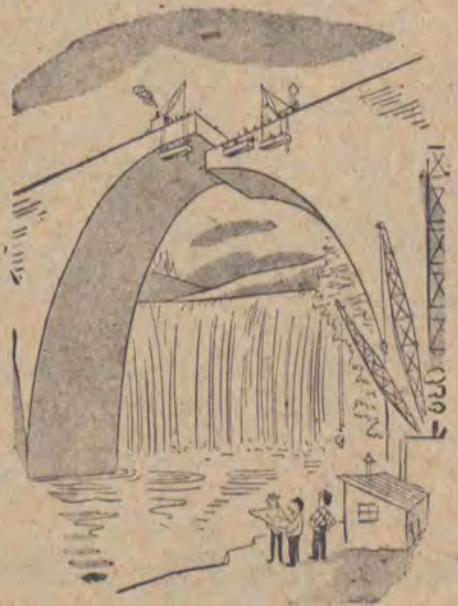
Do takich należy też angielski humorysta Leslie Starke, stały współpracownik „Puncha”, „Lilliputa”, „London Opinion”, „Men only” etc. Ponadto — i niech to będzie miarą jego sukcesów — zamieszcza swoje żarty w „New Yorkerze”. A przecież autorów spoza USA, drukowanych przez to pismo — da się policzyć na palcach jednej ręki!

(Statych czytelników niniejszego cyklu może już niecierpliw, że stale przypominam amerykański tygodnik — ale jest to rzeczywistość najświetniejsza — ale jest to rzeczywistość na świecie; ciagle stwarza nowe formy żartu rysunkowego i utrzymuje niezmiennie wysoki poziom zamieszczanych prac).

Starke ma dwa ulubione tematy: zakonników, oraz plastykę. O ile na swych kolegów po piórze lubi czasem spojrzeć okiem satyryka, zakpić czasem z nowoczesnych ekscentryków — to kiedy zagląda za klasztorną furte, pozostaje tylko humorystą. Interesuje go komizm takiej sytuacji, gdy w zamkniętym kręgu surowej, zakonnej reguły pojawi się jakiś „świecki” rekwizyt: pies, proca, lub nawet prozaiaczny... cyrkiel.

Efekt komiczny wszystkich rysunków Starke'a osiągnął jest właśnie poprzez rekwizyty. Najczęściej zabawna perypetia wynika stąd, że jakiś przedmiot znalazł się nie na swoim miejscu. Przeważnie zresztą Starke sięga głębiej: ów przedmiot demaskuje różne skryte nawyki i namiętności ludzkie. Taką właśnie funkcję spełnia i ten ostrzyżony pies i proca i buty na korytarzu więziennym.

J. W.



## ZA TYDZIEŃ VIRGIL PARTOK albo rzeczy makabryczne



— Ten pokój ma bogatą przeszłość, prozęt pana...

Do kogo należy szkiełko?  
Gdzie się chce oddalić malarz Borówko?  
Co robił w nocy prof. Zann?  
Kto jest złodziejem?

ZBIGNIEW NIENACEJ  
**ZABÓJSTWO HERAKLIUSA PRONOBISA**  
Powieść

Wszystkich Czytelników naszej powieści, którzy spodziewali się znaleźć odpowiedzi na te pytania w niniejszym numerze, Redakcja przeprasza za sprawiony im zawód i prosi wyjątkowo o uzbrojenie się w tygodniową jeszcze cierpliwość. Towarzystwo borowskie wróci na nasze łamy zdrowe i całe za tydzień.

ROMAN WASCHKO

## Sto wierszy o jazzie

dzinie muzyki wyprostowywać aby czytelnicy nie przypominali miłego znajomego, który dowiedziawszy się, że od 20 lat zajmuję się jazzem — zapytał wręcz: „Tańczy pan?”

Stosunkowo niski poziom „kultury jazzowej” jest u nas wynikiem okresu, w którym oficjalnie było praktykowane odżegnywanie się od jazzu. Jazz nazywano często „muzyką duchowej nędzy”. Poszczególni muzycy i autorzy ani nie zadawali sobie trudu, ani nie odważali się na prowadzenie głębszych studiów nad tą muzyką. Ograniczali się do powtarzania utartych, ale za to lojalnych frazesów, czemu nie można się dziwić, skoro dostęp do światowej literatury był zamknięty.

Stefen Kislewski w swoim przemówieniu wygłoszonym z okazji I Koncertu Jazzowego w Filharmonii Narodowej zastanawiał się nad przyczynami, które doprowadziły u nas do tych „jazzowych wypaczeń” i mimo poplerania wszystkiego co ludowe, nieuznawania tej tak typowo ludowej sztuki jaką jest jazz.

Jazz przypomina nieco pewnego pechowca, którego „czepiano się” i za sanacji i za okupacji i przed październikiem i po październiku. Oto zupełnie niespodziewanie ostatnio we Włoszech muzykę jazzową zaatakowały „sfery klerykalne” zarzucając tej poniewieranej muzyce, że jest wyrazicielką światopoglądu materialistycznego.

Dobrze, że przynajmniej u nas mamy za sobą jałowe spory i że dowoli możemy jazz grać, słuchać i o jazzie pisać.

Oczywiście o tym wszystkim nie należy zapominać, że jazz to muzyka, a też samym czytaniem choćby najlepszej literatury jazzowej nie nauczymy się słuchania ani rozpoznawania jazzu.

Jazzu trzeba słuchać i to często i w możliwie jak najlepszym wydaniu. Oto warunek nieodzowny, którego podaniem — kończę dzisiejsze uwagi.

**CZYTELNIKU, JEŚLI MASZ SZCZĘŚCIE, A CHCESZ SIĘ USMIAC SPRÓBÓJ, MOŻE UDA CI SIĘ JESZCZE KUPIC ZBIÓR HUMORESEK ZYGMUNTA FIJASA P.T. „PORTRET Z SERA”.**

dzień, 21) Rekonesans, 23) Wyciąg z dokumentu, akt sprawy lub wyciąg z urzędowej korespondencji, 24) Tytuł utworu A. Mickiewicza, 25) Wrota, 27) Czwiek metalowy, łączący dwa kawałki metalu,

Termin nadsyłania rozwiązań zadań — 10 dni.

Rozwiązanie zadań z nr 5. Krzyżówka

Poziomo: — bukwinista, lamus, kram, szal, akt, raid, kant, rodek, Andromeda,

Pionowo: — barkarola, kula, nem, susz, amplituda, Amado, Usta, tryd, akne, dno.

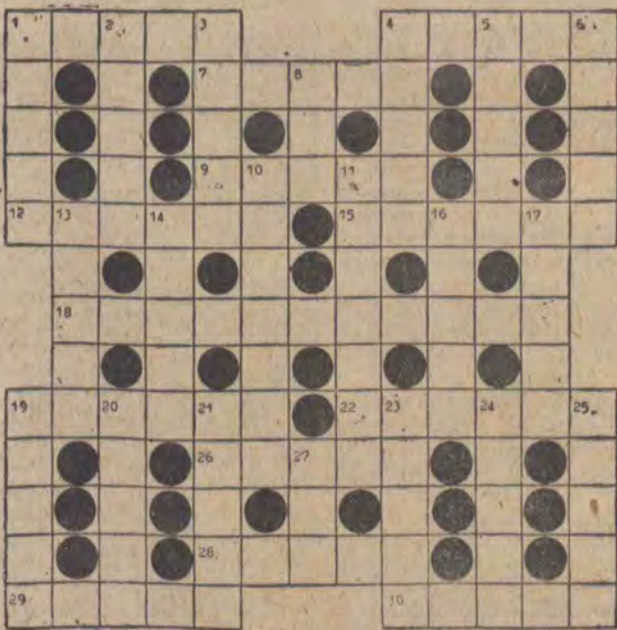
Figiel rebusowy — salonowiec.

Nagrody książkowe za rozwiązanie zadań rozrwykowych wylosowali:

1. Krystyna Jasińska, Radomsko, ul. Kościuszki 13.  
2. Ryszard Durzyński, Łódź, ul. 3-go Maja 64-66.

Rock and Roll jest jazzem? Czy muzyka taneczna — rumba, samby i mamba, to też jazz? Oto pytania, symptomatyczne dla powszechności „kultury jazzowej”...  
Z takimi pytaniami spotykamy się na każdym kroku. Mimo olbrzymiej popularności, jaką muzyka jazzowa u nas się cieszy, przeciętny słuchacz nie potrafi odróżnić jazzu od muzyki tanecznej, a przede wszystkim w ogóle nie wie na czym właściwie polega jazz. Co prawda odpowiedź na to pytanie bynajmniej nie jest prosta, bo dotychczas nikomu nie udało się zdefiniować pojęcia jazzu w taki sposób, aby stojący na uboczu słuchacz wiedział, czego należałoby się spodziewać od tego rodzaju sztuki...  
W miarę naszych skromnych możliwości będziemy się starali niekiedy błędnie (a utarte!) opinie o tej dzie-

## NASZA KRZYŻÓWKA



### ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo: 1) Kwiatnik, gazon, 4) Lokalne właściwości mowy, narzecze ludowe, 7) Biekit, 9) Rzeźbielnik, 12) Sukmana, siermięga, 13) Naczódek przy filarze mostu, o który rozbija się kra, 18) Dział medyczny zajmujący się chorobami żołądka i ich leczeniem, 19) Odjazd, 21) Człowiek, którego przeraża wszelka nowość, 26) Pierwiastek chemiczny, metal srebrzysty, 28) Zdobnie imię męskie, 29) Współbrzmienie kilku dźwięków, 30) Opera Puccini'ego.

Pionowo: 1) Ryba, 2) Zwierzę afrykańskie, 3) Jasność, światłość, 4) Grający w jakąś grę, 5) Dowód pobytu w innym miejscu niż to, w którym się zdarzył jakiś fakt, wypadek, zbrodnia, 6) Lampa wisząca, zakryta od dołu, 8) Niedobre, 10) Dom wiejski łączący z całym otoczeniem, 11) Potrzebna koszykarsowi, 13) Państwo europejskie, 14) Otyłość, 16) Bioto, moczary, 17) Czapka ułańska, 19) Dżwig, 20) Następny

Redakcja Zespół, Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”, Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, Tel. 244-79, Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca, Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł, Prenumerata przyjmowana w punktach pocztowych, listonosze oraz PUPIK „Ruch”, Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 5-579 z zaznaczeniem „na „Odzież” Druk „Prasa”, Łódź, Żwirki 17, Zam. 1355, IV, 58, M-4

VI

JAN CZARNY

## Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach



Rys. H. Poulain

Żyje kukulki już od lat paru w Bzdurowie stosuje fabryka zegarów.

str. 11

odgłosy



## EKRANIK

### EKSMISJA

Z dwutygodnika „Teatr i Film” usunięty został ambitny i żywo redagowany dział filmu. Można przypuszczać, że ten brutalny zabieg został dokonany z obawy przed zbyt dużą poczytnością periodyku...



### PECHOWY MARIĄŻ

Prasa codzienna doniosła o zamierzonym połączeniu Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej z łódzką Szkołą Teatralną. Wypada żałować, iż przez swoją lokalizację — Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa — mająca na swym koncie szereg wybitnych osiągnięć — znalazła partnera, o którym wszystkie wróble na dachu ćwierkają, iż jest... kulawy.

## GOLONO — STRZYŻONO \* GOLONO — STRZY



### PREZENT

W związku z tym, iż pani Pappritz, zastępca szefa bońskiego protokołu dyplomatycznego, przeniesiona została na emeryturę, anonimowi dowcipnicy przesłali jej paczkę, zawierającą dwie pary kalesonów. W ten sposób uczynili oni aluzję do słynnej książki pani Pappritz, w której twierdziła ona m. in., iż gentleman nosi jedynie długie kalesony.

### OGŁOSZENIE

W londyńskim „Timesie” ukazało się ogłoszenie następującej treści: „wypiegnowana starsza dama o doskonałej prezencji i manierach przyjmie na kilka godzin w tygodniu pracę w wytwornym domu, w którym są dobrze wychowane dzieci, opiekując się ich kotami, gdy czują się niedysponowane”.

### DEFINICJA

Pisarz francuski, Cecil Saint Laurent, autor książki „Caroline Cheri”, dał niedawno następującą definicję okresu dojrzewania u młodzieży: „Jest to okres, kiedy chłopcy poczynają dostrzegać, że dziewczęta zwracają uwagę na tych chłopców, którzy zwracają uwagę na dziewczęta”.

### DOBRA NOWINA

Jak podano w Watykanie, święty Sebastian proklamowany został patronem policji i służby bezpieczeństwa.

### A JEDNAK

Bop Hope powiedział niedawno: „Kobiety amerykańskie wydają na kosmetyki dwa razy więcej niż nasze wojsko na uzbrojenie. Trzeba jednak przyznać, że mimo to kobiety mają większe powodzenie”.

### SŁOWO HONORU

Pewna obywatelka Detroit, pani Jennie Krajewska (może nawet Polka?) rozeszła się po raz czwarty ze swym 69-letnim mężem. Krajewska złożyła przed sądem uroczystą obietnicę: „Daję słowo honoru, że już więcej nie wyjdę za niego za mąż”.

### KONSEKWENTNI

W czasie zebrania konstytucyjnego „Stowarzyszenia do walki z chuligaństwem sportowym” w Rio de Janeiro wybuchła pomiędzy założycielami organizacji gwał-



towna bójka. Kilkanaście osób zostało odwiezionych do szpitala, interweniowało 30 policjantów, lokal zaś został całkowicie zdemolowany.

## ZONO \* GOLONO — STRZYŻONO \* GOLONO

# MASKOTKA -TEMAT PROLETARIACKI

N upartego można dowodzić, iż postać uolewającego ogrodnika w filmie Louisa Lumiere'a („Polewacz polny” — 1895), stanowi pierwszy znany i zanotowany przez historię kina fakt pojawienia się postaci robotnika na ekranie. Czynność polewania ogrodu jest pracą. Ale czy polewający jest robotnikiem? Polewać może polewać, ot dla fantazji — jakiś na przykład kapitalista, spędzający urlop pośród grządek. Stąd wniosek. Wykonywanie czynności choćby reprezentatywnych dla stanu robotniczego — o niczym nie decyduje. Dlatego o pojawieniu się postaci robotnika w filmie można mówić dopiero wówczas, gdy filmy zaczęły mówić o problemach życia robotnika, zastanawiać się nad jego mentalnością, rodziną i idealami. Zostawmy jednak w spokoju historyczny punkt widzenia. Moment pojawienia się robotnika w filmie posiada ciekawsze aspekty...

Można zastanowić się chwilę nad analogicznymi przykładami, zaczerpniętymi z dziedziny literatury. Jest to najzupełniej oczywista strona zjawiska, mówiąca o dociekliwości typu poznawczego, przejawianej ze strony pisarzy. Wróćmy zatem do kina i jego poczyniń w warunkach nowego ustroju socjalizmu. Kto był dotąd bohaterem filmu? Książę Gwizdusz, Joanna d'Arc, Królowa Elżbieta... Potem pierwsze „wampy”. Narodziło się zagadnienie: co ma oglądać w kinie proletariacki, który doszedł do władzy...

Nowy ustrój należy docenić. Dostrzegł w istocie filmu, w jego masowości, skuteczny oręż agitacji i propagandy. Rozpoczął się czas zabiegów o kształt filmu spełniającego określone warunki. Z tego wstępnego etapu datuje się kilka zwycięstw, mających dziś jedynie znaczenie historyczne. „Matka”, „Pancernik Potiomkin”... Cóż jest tutaj charakterystyczne? Związek z literaturą („Matka”), poszukiwania estetyczne z zakresu nowych środków wyrazu (montaż, kompozycja klatki), i wreszcie aktywność Eisensteina i Pudowkina. Można przypuszczać, że obaj twórcy, dzięki wyjątkowym predyspozycjom filmowym — odnieśli by podobne sukcesy artystyczne nawet wówczas, gdyby przedmiot ich pracy miał inne oblicze ideowe. Włącza się tu bowiem, (szczególnie w wypadku Eisensteina), sprawa niewątpliwego geniuszu.

Dlaczego jednak wspominam ten właśnie okres kinematografii radzieckiej? Okres wczesny i szczęśliwy, któremu niestety nie było dane przetrwać dłuższego okresu czasu? Czyż nie to dla zanotowania dosyć symptomatycznej ciekawostki. Oto nasza kinematografia, rozpoczynając w roku 1946 swoje pociągnięcia twórcze, nie dysponowała równie doborowym zestawem warunków subiektywnych. Brak godnych uwagi pierwowzorów literackich, zapożyczona z II etapu rozwoju filmu radzieckiego — niechęć do poszukiwania śmielszych rozwiązań artystycznych i zasadnicze braki kadry zawodowej — to tylko niektóre z przeszkód. Dlatego początkowe sukcesy („Ostatni etap” — Wandy Jakubowskiej, „Ulica Graniczna” — Aleksandra Forda), sukcesy na polu filmu o wysokich walorach humanistycznych — pozostały osamotnione. Choć zaopiniowały „Polską szkołę” — takowa jednak się nie narodziła. Mimo wysiłków i licznie ponawianych prób — nie powstały filmy, których bohaterem byłby robotnik, tworzący postać absolutnie przekonywującą. Bo Plewa z „Pierwszych dni” — to przede wszystkim sukces aktorski, nie mający pokrycia w innych partiach dzieła, a bogato niegdyś opisana „Pamiętka z Celulozy” — to film z natrętną tezą, film noszący piętno epoki, zbyt sztywny, poprawny — przez co martwy (szczególnie druga część). Te filmy wyczerpały listę...

Czy winne tu są osobiste przekonania twórców? Przenigdy! Bo najwyższą nawet rangą osobistych przekonań, najszlachetniejsze zamiary, to wszystko mało. Rzecz zaczyna się i kończy na umiejętności robienia filmów. A u nas częstokroć robią karierę zupełnie przeciętniutkie obrazy, tyle tylko, że celnie wystrzelone w orbitę aktualnej koniunktury. A potem nazwisko twórcy krąży wokół kinematografii na kształt i podobieństwo wyjątkowo sztucznego satelity... Czy któryś z pracujących krytyków urządzi kiedyś paszkwilo-pranie? Nawet w obliczu bojkotu towarzyskiego, który potem niewątpliwie nastąpi?

Postać robotnika traktowana jest jako maskotka, mająca przynieść filmowi pomyślną ocenę ideową. Chodzi także o odhaczenie „tematu proletariackiego” na liście scenariuszy. Zresztą na liście filmów, stających przedmiotem zabiegów rodzimej produkcji — akurat tak się składa, że pozycji takich nie ma. Chyba, że ktoś zaliczy w proletariacki poczet — „Następnego do raju”...  
**METODY**

## W kinie

### FRENCH CANCAN

Spośród zagranicznych filmów rewolucyjnych, które odwiedziły nasze ekrany — „French Cancan” jest pozycją najciekawszą. Przede wszystkim dzięki szczęśliwej obsadzie aktorskiej (Jean Gabin, Françoise Arnoul i Maria Felix), uroczej melodii walca i wreszcie... scenom kankana. Natomiast zreczny trik reklamowy „Renoir — reżyser, syn wielkiego malarza Renoira...” — potraktowany serio przez naszą krytykę, wypracował dodatkowo komiczne aspekty dzieła. Albowiem „French Cancan” jest filmem zgrabnie zrobionym, pod względem plastycznym także, ale do rewelacji mu jeszcze daleko...

„Kolor przelewa się z ekranu” — pisał ktoś w programie kinowym. — „Kolor kapie z ekranu” — powtórzyli provincialni recenzenci (autentyczne!).

Daltoniści? Zarazem wypada tu odnotować słowa obawy. Jak po tylu kankanach „wypadnie” „Zolnierz Królowej Madagaskaru” z kanianem w wykonaniu miejscowym (balek Parnella?) według układu choreograficznego rodzimego pomysłu?

### KRÓL MACIUSI

Nad „Królem Maciusiem I” odprawiają się właśnie egzorcysty krytyki. Zaczęło się od słów najwyższego uznania Leona Bukowieckiego („Tygodnik Zachodni”, tytuł recenzji: „Europeizujemy się!”), aż po programowe wybrzydzenie Krzysztofa Teodora Topolity, czynione na łamach tygodnika „Świat”. Ale, ponieważ dzięki uprzednim artykułom K. T. Topolity każdy już wie, iż autor nie pała sympatią do Wandy Jakubowskiej, przeto trudno jego uwagi traktować serio. Tym bardziej, że walory „Maciusia” zostały starannie wyszukane i pozytywnie ocenione przez pozostałą część krytyki...



Zauważono domysłowa adaptacja i dowcipny finał, dobra gra aktorów, zarówno małych, jak i dorosłych, znakomite zdjęcia Stanisława Wohla i kulturalna oprawa plastyczna Anatola Radziwiłowicza. Naszym zdaniem reż. Wandzie Jakubowskiej udało się wykaazać, że pomysł wzięcia na warsztat powieści Korczaka — był pociągnięciem szczęśliwym. Jest to najmilszy prezent, jaki nasza młoda widownia kiedykolwiek otrzymała... z rak rodzimej kinematografii.  
**WIDZ.**

# miejszanka FILMOWA



### KRONIKA TOWARZYSKA

Wiesie niesie, że ceniony literat i krytyk filmowy — Aleksander Jackiewicz — został redaktorem naczelnym tygodnika „Film”. Te plotki zdają się potwierdzać nowe numery popularnego i ilustrowanego tygodnika. „Film” otrzymał nobliwy układ graficzny i pomieszcza artykuły typu „serio” — dział reklamy zostawiając rzeźkim organom Centrali Wynajmu Filmów...

### HOBBIES, CZYLI KONIKI ZNANYCH AKTORÓW

Bożyszcze pensjonarek, Franco Interlenghi („Serpniowa niedziela”, „Proces przeciwko miastu”, „Bosonoga Contessa”), małżonek czarującej Antonelli Lualdy ma już około trzydziestki i jest ojcem małej Stelli, którą bardzo kocha. Konikiem Franco jest sport samochodowy, bardzo popularny zresztą we Włoszech. Wszystkie wolne chwile znany aktor spędza na swym stalowym rumaku, wyciągając zeń maksymalną szybkość 160 km na godzinę. Antonelli drży o życie męża, który miał już kilka wypadków. Na temat automobilowych upodobań Interlenghi krąży



Zdjęcie z filmu Waleriana Borowczyka i Jana Lenicy pt. „Był sobie raz”

po Cinecitté wiele anegdotek i powiezonek.

Natomiast konikiem Folco Lulli („Nie ma pokoju pod oliwkami”, „Cena strachu”), są koszu! A tak, drodzy panowie! Uczęcie się od zagranicznych znakomitości! Lulli twierdzi, że elegancieckiego mężczyźni poznać nie kosztują. Jego garderoba liczy więc sobie okazała ilość 130 koszul i to przeważnie białych. Folco chciałby być pięknym. Ale, że natura odmówiła mu daru urody, dba wielce o swe zwierzchnie szaty. W ten sposób stał się

on istną wyrocznią mody w swym rodzinnym mieście czyli Florencji.

### SPRAWIEDLIWOŚĆ NA EKRAPIE

Na ekrany naszych kin wszedł właśnie film Julien Puviviera „Sprawa Mauritia”. Pamiętamy filmy Cayatte'a. Wybrańcy losu podziwiali na Festiwalu Festiwalu „Dwunastu gniewnych ludzi” Lumeta. Wszystkie te filmy dowodzą niezbicie, że nawet wówczas, gdy prawo jest prawem, to

sprawiedliwość, nie zawsze bywa sprawiedliwocią. Prawdziwy zaś humanista nie może przejść obojętnie obok niesprawiedliwości. Znany reżyser francuski Maurice Cloche poświęca temu tragicznemu problemowi całą trylogię filmową. Pierwsze jej ogniwo, zatytułowane „Klatka dla dzelwcząt” („Cage aux pilles”) ukazało się w 1949 r. Cloche dał przynębiający obraz życia młodzieży w domach poprawczych. Zakończenie filmu przynosiło projekt reformy w tej dziedzinie.

Wstrząsającą postacią głównej bohaterki kreowała Danielle Delorme („Bez adresu”, „Czarna teczka”). Obecnie powstaje również z Danielle Delorme w roli głównej, część druga „Prisons de femmes” („Więzienia kobiece”). Danielle jest młodą kobietą oskarżoną o otrucie i pada ofiarą omyłki sądowej. Znaczna część filmu poświęca Cloche życiu więziennemu. Niektóre zdjęcia wykonano w autentycznym więzieniu paryskim. Zwerbowano strażników więziennych,

którzy mają dostarczyć wszelkich szczegółów dotyczących obyczajów i atmosfery życia za kratkami. Aktywny został przydzielony w prawdziwe stroje więzienne. Zdaniem reżysera cały ten pletyzm winien przyczynić się do wzmocnienia oskarżycielskiej wymowy filmu. Na jesieni 1958 r. Cloche przystąpi do realizacji ostatniego ognia cyklu: „Śmierć albo ulica” („La mort ou trottoir”). Centralnym problemem tego filmu będzie zagadnienie reedukacji byłych więźniów.  
**SKAT.**